

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Krzysztof Dębski: Rzeź wołyńska nie mieści się w głowie

● Bez prawdy nie da się żyć razem – uważa kompozytor i autor książki „Wołyn. Nic nie jest w porządku”

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki



Piątek
11.07.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 159 (24 520) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

Rewolucja w neurologii.
Będą leczyć zdrowych pacjentów
str. 5-6



Wesele Kaszubskie powróciło. Nowa odsłona popularnego spektaklu
str. 8

A gdyby tak można było być „na nie”?
O głosowaniu przeciwko wszystkim
str. 17



FOT. ANETA KOLESINSKA

Magazyn Puls

Najpopularniejsze zwierzę w Polsce to „małpka” – mówi dr W. Mielech ze szpitala dziecięcego w Białymstoku **str. 23**

NAUKA

18 dni w warunkach kosmicznych

Karol Kołacz dzieli się wrażeniami z analogowej misji na Księżyc. Było prawie jak w kosmosie.
Czytaj str. 12-13

GDAŃSK

„Dziennik Bałtycki” gości w ECS

Osiem dekad historii regionu, Polski i świata na łamach naszej gazety – zapraszamy do obejrzenia ekspozycji.
Czytaj str. 2

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



MALBORK CZY ZAMEK MOŻE WYPAŚĆ Z LISTY ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA UNESCO?

Wiatraki - źli sąsiedzi



FOT. RADOŚLAŃ KONGCZYŃSKI

Rycerz Don Kichot walczył z wiatrakami jako wytworami swoich fantazji. Na Żuławach trwa też obecnie „walka”, ale z prawdziwymi elektrowniami wiatrowymi, planowanymi w okolicy dawnej siedziby prawdziwych rycerzy - zamku Malbork **str. 10-11**

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011363370

ORLEN JUNIOR CUP. WIELKI FINAŁ W GDAŃSKU

Piękna pogoda, dzieci chętne do zabawy z piłką oraz rywalizacji, historyczny obiekt Lechii Gdańsk przy ul. Traugutta – tak wyglądał wielki finał Piłkarskiej Przyszłości z ORLENEM. Nie brakowało emocji, wzruszeń, wybuchów radości. Najważniejsze jest jednak to, że młodzież spędziła czas aktywnie i na powietrzu.

Czytaj na stronie 7

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Wystawa „Dziennika Bałtyckiego” w ECS otwarta!

Andrzej Kowalski
Gdańsk

Oficjalne otwarcie ekspozycji, na której zobaczycie osiem dekad historii Pomorza zatrzymanych na łamach naszej gazety odbyło się w Europejskim Centrum Solidarności we wtorek 8 lipca. Opowieść o historii zawarta na ponad dwudziestu planszach pełna jest wielkich momentów, okładek przedstawiających epokowe wydarzenia, zdjęć wykonanych przez naszych fotoreporterów, a także kultowych rysunków Zbigniewa Jujki.



Ta gazeta się zmieniała tak, jak zmieniała się Polska na przestrzeni 80 lat

Zwiedzający mogą obejrzeć wybrane okładki „Dziennika Bałtyckiego”, które niejednokrotnie wskazywały punkt, w którym znajdował się region czy kraj. W przypadku pandemii koronawirusa czy też pierwszych lotów w kosmos to także świadectwa sytuacji globalnej, opowiedzianej przez pryzmat lokalny.

- „Dziennik Bałtycki” to jest naprawdę niesamowita historia i mam nadzieję, że ta wystawa to pokaże - mówił redaktor naczelny „Dziennika Bałtyckiego”, Maciej Sandecki. - Pierwszy numer ukazał się 19 maja 1945 roku, czyli już 10 dni po zakończeniu działań wojennych w Europie. Gdańsk leżał w gruzach, a kilku zapaleńców postanowiło wydawać gazetę. Ta gazeta się zmieniała tak, jak

zmieniała się Polska na przestrzeni 80 lat.

Oprócz historycznych okładek na naszej wystawie znaleźć można również ujęcia naszych fotoreporterów, które niejednokrotnie wyrażały nastrój oraz stan naszego kraju. Obok nich zawarliśmy także kultowe dla wielu naszych czytelników, satyryczne rysunki Zbigniewa Jujki.

- Muszę przyznać, że „Dziennik Bałtycki” zawsze zaczynałem czytać od Jujki - mówił Lech Norbert Kosiak, działacz opozycji antykomunistycznej i ruchu Obywatele RP. - Dla mnie to była postać, która w sposób ciekawy przedstawiała tamtą rzeczywistość. Idąc po tych wszystkich planszach, szukałem właśnie jego rysunków.

Jak zwrócono uwagę podczas oficjalnego otwarcia wy-

stawy w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku, misje goszczącej naszą wystawę instytucji oraz samego „Dziennika Bałtyckiego” mają wiele punktów wspólnych. O przeplatających się, ale też wymagających od siebie nawzajem, relacjach między historią czy sztuką, a lokalnymi mediami, mówił w rozmowie z naszym reporterem dr Przemysław Ruchlewski, zastępca dyrektora ECS ds. naukowych i zbiorów.

- „Dziennik Bałtycki” to przede wszystkim 80 lat historii regionu - podkreślał dr Ruchlewski. - Wszystkie rzeczy, o których my mówimy na wystawie głównej, o pokojowej drodze do demokracji, rewolucji „Solidarności”, pokazujemy przez pryzmat wiadomości z „Dziennika Bałtyckiego”. To

naturalna kolej rzeczy, że nasza ekspozycja wraz z tą o 80-leciu gazety, po prostu się „przecinają”.

Na otwarciu pojawili się pracownicy byli oraz obecni, przyjaciele, partnerzy, sympatycy, a także sami czytelnicy „Dziennika Bałtyckiego”. Za to wspólne 80 lat dziękujemy i zapraszamy do odwiedzenia wystawy w Europejskim Centrum Solidarności.

Pierwszy numer naszej gazety ukazał się 19 maja 1945 roku, czyli już 10 dni po zakończeniu działań wojennych w Europie. Gdańsk leżał w gruzach, Kaszubi wracali do korzeni, a cały kraj wydobywał się z gehenny II wojny światowej.

Niemcy stąd uciekli lub zostali wysiedleni, a Trójmiasto i Pomorze zasiedlali rodacy zza Bugu. Dzisiejsi maturzyści to już trzecie lub czwarte pokolenie polskiego Pomorza.

Przez kolejne 80 lat „Dziennik Bałtycki” zmieniał się tak, jak zmieniała się Polska. W czasach PRL gazeta nie była wolna od komunistycznej propagandy, a po 1989 roku miała kilku prywatnych oraz państwowych właścicieli.

Przez cały ten okres był jednak Dziennik największą gazetą na Pomorzu, która w głównej mierze zajmowała się lokalnymi sprawami, bliskimi mieszkańcom regionu. Pisaliśmy o naszych sukcesach i porażkach, o chwilach pięknych uniesień i tragediach, jakie nas dotykały. ©

POGODA NA WEEKEND

Piątek

17°C
14°C



Wiatr pñ.
26 km/h

Uwaga
Przelotne opady

Sobota

18°C
14°C



Wiatr pñ.
18 km/h

Uwaga
Przelotne opady

Niedziela

21°C
15°C



Wiatr pñ.
18 km/h

Uwaga
Częściowo słonecznie

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

- numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Chciałoby się rzec - konia z rzędem temu, kto odgadnie, który fragment regionu tym razem uchwycony został z powietrza przez naszego fotoreportera. Nie zaryzykujemy jednak tak wysokiej stawki, bo wierzymy, że nasi Czytelnicy rozwikłają i tę tajemnicę.

Tradycyjnie, rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku. (AT)

KURSY WALUT

10.07.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	421/429(+)	GBP	487/495(+)
USD	359/365(-)	CHF	450/457(-)
GBP	487/495(+)		
CHF	450/457(-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	421/429(+)
USD	359/365(-)
GBP	487/495(+)
CHF	450/457(-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: andrzej.kowalski@polskapress.pl

Andrzej Kowalski



Wołodymyr Zełenski prezydent Ukrainy

0011324347

ZDROWIE

Revolucja w neurologii. – Prawdopodobnie już w niedalekiej przyszłości będzie można zbadać sobie poziom szkodliwego białka, podobnie jak sprawdzamy sobie poziom cukru czy morfologię, i zacząć stosować leki spowalniające lub zatrzymujące przebieg choroby, której objawów jeszcze nie mamy – uważa prof. Jarosław Sławek, szef Oddziału Neurologii z Poddziałem Udarowym w Szpitalu św. Wojciecha **STR. 5-6**



FOT. K. MISZTAŁ

HISTORIA

Przeżyła Wołyn. Czas nie uleczył ran

Eugenia Sobczak jest jedną z ostatnich weteranek II wojny światowej. Była radiotelegrafistką w szeregach 1. Armii Wojska Polskiego... **STR. 16**

„OCEANIA” PŁYNIE NA PÓŁNOC. W TLE KONFLIKT ARMATORA Z BYŁĄ ZAŁOGĄ

Po miesiącach konfliktu między załogą a dyrekcją Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk „Oceania” wypłynęła na swoją sztandarową wyprawę badawczą ARctic EXpedition. Część marynarzy jest teraz na kontraktach B2B, a rejs na Spitsbergen będzie testem dla jednostki. Według nieoficjalnych informacji na pokładzie na razie nie jest najlepiej. – Chaos to dobre określenie, ale może zbyt delikatne – mówi nam były załogant „Oceanii”

Andrzej Kowalski

Jeszcze w październiku ubiegłego roku o „Oceanii” pisały niemal wszystkie media w Polsce. To wtedy wyszło na jaw, że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego wstrzymało finansowanie jednostki. Pojawiła się obawa, że ten niezwykle statek – jedyny w polskiej flocie zdolny do prowadzenia badań naukowych poza wodami Bałtyku – trafi na złom. Dzięki medialnemu sztormowi, którego resort nauki nie mógł zignorować, finansowanie przywrócono.

Na początku tego roku okazało się, że załoga dostała wypowiedzenia. Armator, dyrekcja Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk, szybko jednak wyjaśniła: nie chcemy zwalniać ludzi, a jedynie zmienić system zatrudnienia na kontrakty B2B. Oznacza to, że marynarze muszą założyć działalności gospodarczej.

13 osób otrzymało wypowiedzenia z powodu likwidacji ich stanowisk. Umowy o pracę obowiązywały do końca kwietnia. Byli pracownicy otrzymali umowy w formule B2B, w której przesłabli na samozatrudnienie i nadal mieliby pracować na statku. Zdaniem marynarzy nie było to ani logiczne, ani zgodne z prawem w związku z warunkami pracy na morzu. Ich opinię podtrzymywał Ogólnopolski Związek Zawodowy Oficerów i Marynarzy.

„Propozycja przejścia na kontrakty B2B budzi sprzeciw zarówno pod względem prawnym, jak i społecznym. Zgodnie



„Oceania” jeszcze przed wyruszeniem w tegoroczny rejs na Spitsbergen

z ustawą o pracy na morzu zatrudnienie na statkach pływających pod polską banderą powinno odbywać się na podstawie marynarskich umów o pracę” – czytamy w liście przewodniczącego OZZOim do prezesa Polskiej Akademii Nauk.

Nie wszyscy zdecydowali się przejść na nowe umowy. W związku z tym, że trzeba było znaleźć nowych pracowników – z odpowiednimi kwalifikacjami – rejsy zaplanowane na kwiecień były przekładane. Dodatkowo na statku pojawiły się kolejne kontrole. Jeszcze w maju był problem z kwalifikacjami załogi, o czym informowała PAP asystentka dyrektora Urzędu Morskiego w Gdyni Agnieszka Robakowska.

– Przedstawiciel armatora został poinformowany o tym fakcie – wyjaśnia Agnieszka Robakowska. – Stwierdzono również, że Karta Bezpieczeństwa

nie uwzględnia zmian wprowadzonych rozporządzeniem w sprawach kwalifikacji i przeszkolenia członków załóg jachtów komercyjnych oraz warunków ich uzyskania z 7 marca 2018 roku. W związku z tym Kartę anulowano i wystawiono nową, aktualną Kartę Bezpieczeństwa, uwzględniającą zmiany z 2018 roku – dodała asystentka dyrektora UM.

Od tamtego czasu sytuacja na pokładzie „Oceanii” miała być dynamiczna, a całą sprawę wyjaśnia „Dziennikowi Bałtyckiemu” dyrektor Instytutu Oceanografii Polskiej Akademii Nauk, profesor Jan Marcin Węśławski. Potwierdzał, że do 14 maja do żadnego rejsu – także tego zaplanowanego na 1 kwietnia – nie doszło. Dlaczego?

– Bezpośrednim powodem jest zmiana klasyfikacji statku przez GUM i nowe wymagania formalne wobec załogi – opo-

wiadał „Dziennikowi Bałtyckiemu” prof. Węśławski. – To doprowadziło do zwolnienia ludzi z uprawnieniami wyłącznie żeglarskimi oraz z długim doświadczeniem i spowodowało konieczność zatrudnienia załogi z uprawnieniami z dużych statków komercyjnych. Nowa załoga musi przejąć obowiązki i sprawdzić urządzenia, zanim wyjdzie w morze. To, niestety, trwa dłużej niż myśleliśmy.

Według tłumaczeń przedstawiciela PAN sytuacja dotyczyła także najbardziej doświadczonych osób z załogi. Jedną z nich był kapitan, który po kilkunastu rejsach polarnych miał zostać zredukowany do „młodszego marynarza”. Sama „Oceania” po kontroli też została w pewnym sensie zdegradowana i straciła utrzymywany przez blisko 40 lat status „jachtu naukowo-rekreacyjnego”, wpadając do szufladki „jachtu komercyjnego”.

Mimo tych perturbacji „Oceania” wypłynęła w swój sztandarowy rejs. 18 czerwca w mediach społecznościowych Instytut Oceanografii PAN podał, że „wystartował 39. rejs badawczy #AREX2025!”.

„Nasz zespół naukowców z IO PAN wyruszył z Gdańska w stronę Arktyki Europejskiej, by prowadzić pomiary w Morzu Norweskim, Cieśninie Fram, fiordach zachodniego Spitsbergenu i dalej – w rejonie wolne od lodu w Oceanie Arktycznym” – czytamy na stronie IO PAN. „Badamy m.in. transport ciepłych wód Atlantyku, dynamikę Prądu Zachodniospitsbergieńskiego, właściwości wody morskiej oraz jej składniki (przez faunę i florę), ptaki morskie i atmosferę – czyli wszystko to, co kształtuje środowisko Arktyki i reaguje na zmiany klimatu. Nasze pomiary prowadzone są nieprzerwanie od 1987 roku! Stanowią kluczowy wkład w projekty międzynarodowe, krajowe i doktoraty młodych badaczy. Trzymajcie za nas kciuki – pogoda w Arktyce bywa kapryśna!”.

Sytuacja na pokładzie, według nieoficjalnych informacji, ma być jednak dość chaotyczna. Nowej załodze, zdaniem byłych załogantów, ma brakować doświadczenia, a wcześniej przed rejssem na Spitsbergen była załedwie kilka dni na morzu. To za mało, żeby dobrze poznać statek, a zwłaszcza tak specyficzny, jak „Oceania”.

– Załoga nie jest zgrana i raczej nie będzie, na pewno nie tak jak wcześniej – mówi jeden

z byłych załogantów. – My przede wszystkim byliśmy pracownikami i nam zależało. Teraz te osoby przychodzą na umowy cywilno-prawne, w każdej chwili mogą odejść. Przed wyjściem na Spitsbergen załoga podobno opierała się tylko na serwisach w przypadku awarii. To moim zdaniem spowoduje szybsze zużycie jednostki.

Sytuacja kadrowa także ma się szybko zmieniać, ale nasi rozmówcy podkreślają, że opierają się tylko na tym, co zasłyszeli. Zmienić miał się kapitan, steward musi zejść szybciej ze statku, ponieważ „to nie jest praca dla niego”, a na jednostce powstało nowe miejsce pracy w formie „konsultanta”, który ma na bieżąco dokształcać oficerów. W pewnym momencie rejsu załoga miała mieć też problem m.in. z odsalarką wody morskiej, czyli urządzeniem niezbędnym do uzyskiwania wody słodkiej.

– Zatrudnili oficerów z wymaganymi uprawnieniami, ale nie potrafili ich sensownie przygotować do pełnienia obowiązków – mówi były członek załogi. – Teraz publiczne pieniądze mają wydawać na „konsultanta”, który nawet nie jest członkiem załogi, bo ma zbyt niskie uprawnienia.

Pytania związane z zatrudnieniem i sytuacją na statku skierowaliśmy do prof. Jana Marcina Węśławskiego, dyrektora IO PAN w Sopocie. Na odpowiedź czekamy, a do sprawy wrócimy po otrzymaniu stanowiska władz Instytutu.

REWOLUCJA W NEUROLOGII. BĘDĄ LECZYĆ ZDROWYCH PACJENTÓW

– Prawdopodobnie już w niedalekiej przyszłości będzie można zbadać sobie poziom szkodliwego białka, podobnie jak sprawdzamy sobie poziom cukru czy morfologię, i zacząć stosować leki spowalniające lub zatrzymujące przebieg choroby, której objawów jeszcze nie mamy – uważa prof. dr hab. n. med. Jarosław Sławek, wybitny neurolog, szef Oddziału Neurologii z Pododdziałem Udarowym w Szpitalu św. Wojciecha w Gdańsku

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Uczestniczył Pan w Światowym Kongresie Choroby Parkinsona, który w maju odbył się w Nowym Jorku. Zazwyczaj jedna z sesji poświęcona jest nowościom. Czy pojawiła się jakaś nadzieja dla pacjentów?

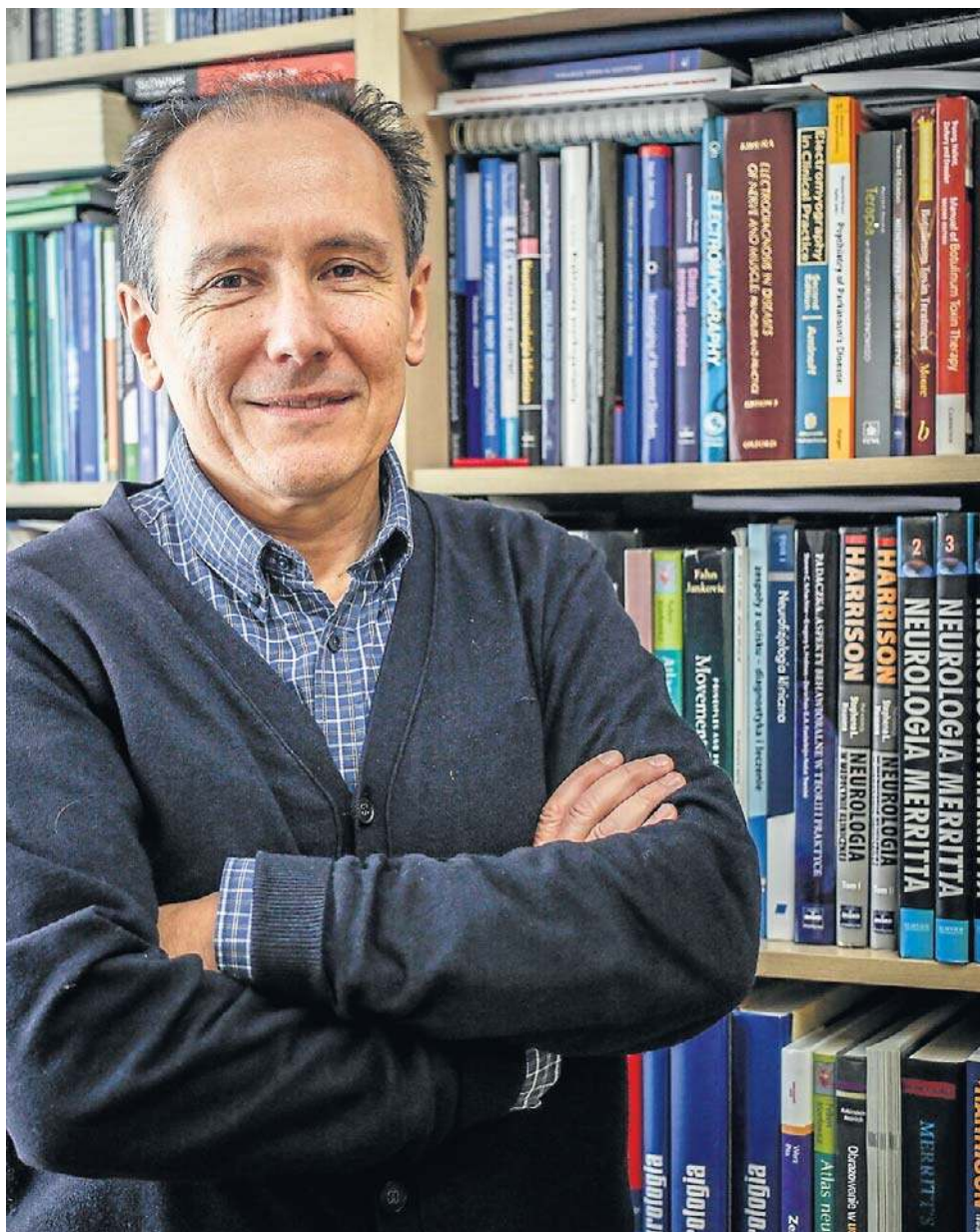
W tej chwili nowością – co prawda nie dotyczącą terapii, a diagnostyki – jest zmiana definicji choroby Parkinsona. Ta definicja nazywa się teraz „definicją biologiczną”. To znaczy, że pacjenci jeszcze nie mają objawów, a już wykrywa się toczącą się w nich chorobę. Ta choroba już trwa 15-20 lat, zanim pojawią się pierwsze objawy, a dzisiaj wiemy, że to właśnie w tym wczesnym okresie należałoby zastosować leki, które by spowalniały czy zatrzymywały przebieg zarówno choroby Alzheimer’a, jak i Parkinsona. Trwają poszukiwania tak zwanych biomarkerów, czyli substancji, które wcześniej mogłyby zasignalizować, że mamy do czynienia z tą chorobą, i być może będziemy mogli albo nawet musieli zacząć leczyć pacjentów, którzy nie mają jeszcze objawów klinicznych.

Ale kto idzie do lekarza, jak mu nic nie dolega?

No właśnie. Jest to trochę „pójście do przodu”, wyprzedzenie choroby. Kiedy będziemy dysponowali biomarkerami, będziemy mogli przeprowadzać badania przesiewowe u pacjentów np. w wieku 40-50 lat, kiedy te choroby neurodegeneracyjne zaczynają się w nas „tlić”. Jak wiadomo, szczyt zachorowań na chorobę Parkinsona przypada około sześćdziesiątki, czyli będziemy mogli wykryć chorobę dwadzieścia lat wcześniej.

Takie leczenie na zapas?

Te koncepcje, ciągle budzące jeszcze wiele kontrowersji, to



Dr Jarosław Sławek: Założyłem w szpitalu na Zaspie poradnię parkinsonizmu w 1997 roku

*BYĆ MOŻE W PRZYSZŁOŚCI
BĘDZIE MOŻNA TAKI PRZESIEW
PRZEPROWADZAĆ CO JAKIŚ CZAS,
PODOBNIIE JAK SPRAWDZAMY
SOBIE POZIOM CUKRU*

skutek pojawienia się nowej metody wykrywania białka alfa – synukleiny, które odkłada się w mózgu osób chorych. I teraz możemy ją laboratoryjnie wykryć w płynie mózgowo-rdzeniowym, a w niedalekiej przyszłości będzie to wykrywalne również we krwi, w skórze, może w śli-

nie. Pojawiła się także szansa na badanie obrazowe, które pokaże jej kumulację w mózgu.

Byłoby to badanie nieinwazyjne?

Jak najbardziej. Być może w przyszłości będzie można taki przesiew przeprowadzać co jakiś czas, podobnie jak sprawdzamy sobie poziom cukru czy morfologię. Na razie ta metoda jest nie tylko droga, ale budzi też wątpliwości natury etycznej. No bo jeśli powiemy 50-, 60-latkowi, że „pan zachoruje”, to nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kiedy to nastąpi, czy w ogóle pacjent tego dożyje...

Jak żyć z taką chorobą „na wyrost”?

To kolejny problem etyczny, ponieważ na razie nie mamy nic do zaoferowania tym pacjentom. W chorobie Alzheimer’a są już zarejestrowane leki, które usuwają szkodliwe białko beta amyloidu (lek już zarejestrowany także w Europie przez EMA), ale w chorobie Parkinsona jeszcze takiego leku nie mamy. Chorobę Alzheimer’a również nieco łatwiej wykryć, ponieważ mamy badania obrazowe, które wykrywają to białko beta amyloidu (badanie PET) oraz badania tego białka i białka tau możliwe do oznaczenia nie tylko w płynie mózgowo-rdzeniowym, ale także we krwi. W chorobie Parkinsona typowych zmian nie wiadać w standardowym badaniu za pomocą rezonansu magnetycznego, ale w żadnym innym badaniu obrazowym – poza SPECT DaTSCAN. To jest jednak bardzo drogie badanie i do tego nie odróżnia choroby Parkinsona od innych parkinsonizmów o, czyli chorób neurodegeneracyjnych o podobnym obrazie klinicznym. Potrzebujemy zatem ta-

nich, łatwych do użycia (np. pobieranych z krwi) biomarkerów. Razem z zespołem prof. Magdaleny Górskiej-Ponikowskiej pracujemy nad takimi biomarkerami z krwi, śliny, skóry, a nasze wstępne badania zostały już zauważone (przyznana ostatnio w czerwcu tego roku nagroda – I miejsce w prestiżowym konkursie Eureka! DGP – Odkrywamy polskie wynalazki, organizowanym przez „Dziennik Gazetę Prawną”).

Choroby Parkinsona nie da się wyleczyć ani nie można opóźnić jej postępu. Czy pojawiła się jakaś nadzieja dla pacjentów, którzy się z nią zmagają?

W trakcie kongresu odbyły się prezentacje wyników badań prób lekowych z przeciwciałami monoklonalnymi, które usuwają tę alfa synukleinę z mózgu. Jak na razie są one negatywne w założonych celach badania, ale po dokładnej analizie firma Roche (sponsor badania) oceniła, że pewne podgrupy pacjentów skorzystają z tego leku i ma zamiar w ciągu najbliższego roku uruchomić trzecią fazę tego badania (czyli przedrejestracyjną). Te badania były także prowadzone w polskich ośrodkach, m.in. w naszym. Obecnie natomiast również rekrutujemy chorych do terapii genowej, z wprowadzeniem genu dla czynników wzrostowych w mózgu, które podtrzymują funkcje uszkodzonych neuronów. To autorski pomysł prof. Krzysztofa Bankiewicza, Polaka do ponad 30 lat pracującego w USA. Wstępne wyniki są bardzo obiecujące. To metoda, która właśnie ma spowolnić postęp choroby Parkinsona. Natomiast w programie lekowym mamy od kilku lat bardzo efektywne terapie in-

Dokończenie na str. 6

REWOLUCJA W NEUROLOGII. BĘDĄ LECZYĆ ZDROWYCH PACJENTÓW

Dokończenie ze str. 5

fuzyjne, jak produodopę czy apomorfine, podawane podskórną za pomocą zewnętrznej pompy. To leczenie objawowe, ale znacząco przedłużające sprawność chorego, nawet tego w zaawansowanej fazie choroby.

Ile lat Pan zajmuje się chorobą Parkinsona? I dlaczego akurat taki wybór?

Założyłem w szpitalu na Zaspie poradnię parkinsonizmu w 1997 roku, czyli 28 lat temu. Wydawało mi się, że jest to choroba, w której klinika, a więc diagnostyka i leczenie chorych, łączy się z naukami podstawowymi, czyli biochemią. A jeszcze na studiach na 5. roku zacząłem pracować w Zakładzie Biochemii AMG (dziś GUMed) i wtedy zainteresowałem się przemianami biochemicznymi dopaminy (neuroprekażnik niezbędny do prawidłowej kontroli ruchów i napięcia mięśni; jej niedobór prowadzi do wystąpienia objawów choroby Parkinsona, depresji, zaburzeń koncentracji oraz uzależnień). I to była moja pierwsza myśl, że znamy mechanizmy tej choroby, a dzięki odkryciu dopaminy wprowadzono lek o nazwie lewodopa (jej prekursor), który do dziś jest złotym standardem w terapii choroby Parkinsona. Po prawdzie, w tamtym czasie bardzo mało znaliśmy te mechanizmy w porównaniu do dnia dzisiejszego. Ja jednak po blisko dwóch latach spędzonych w zakładzie zdecydowałem się na pracę przy łóżku pacjenta, jako lekarz. Doktorat uzyskałem na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Dzięki profesorowi Andrzejowi Friedmanowi, mojemu promotorowi i mentorowi, jeszcze bardziej zainteresowałem się chorobą Parkinsona.

Przypomnijmy Czytelnikom, co to za choroba.

Choroba Parkinsona to przewlekła, postępująca choroba neurodegeneracyjna, która prowadzi do niesprawności ruchowej. W mózgu dochodzi do utraty komórek nerwowych produkujących dopaminę, co powoduje między innymi drżenie, sztywność mię-

śni, spowolnienie ruchowe i zaburzenia równowagi.

A jak się objawia choroba Parkinsona?

Pierwsze objawy mogą być „ulotne”. To może być niewielkie pociąganie nogą, zaczepianie stopą o podłogę. Wczesnymi objawami są trudności w pisaniu, małe literki, mikrografia, a dzisiaj uważa się, że jednym z pierwszych objawów, takich widocznych (czy może bardziej „słyszalnych”) jest hipofonia, czyli ściszona mowa. To najlepiej widać w zawodach, które się mową posługują, jak nauczyciel czy ksiądz. Redaktor radia czy telewizji też tak szybko i płynnie mówi, że od razu można zauważyć, że nagle doszło do ściszenia mowy czy jej spowolnienia. Czasami są to objawy ze sfery pozaruchowej, czyli okresy pogorszenia nastroju, nasilone zaparcia. Jednym z najbardziej znamienych objawów są zaburzenia w fazie snu REM, czyli tzw. zespół RBD (skrót od nazwy angielskiej). Chory przez sen krzyczy, walczy z kimś. To wszystko się dzieje oczywiście w fazie głębokiego snu, w fazie REM. U zdrowego człowieka mięśnie są zwiotczone, a tu śpiący pacjent, któremu śni się, że z kimś walczy, potrafi nawet uderzyć kogoś, kto śpi obok. I jest to bardzo charakterystyczny biomarker, bo badania mówią, że po 14 latach od pierwszych takich objawów 95 proc. osób zachoruje na chorobę Parkinsona albo inną chorobę podobną do choroby Parkinsona. Czternaście lat to dość długi okres, w którym jako pierwsze objawy mogą pojawić się osłabienie albo spaczenie węchu, które polega na tym, że człowiek czuje co innego niż inni. Można powiedzieć, że jest to pewien scenariusz rozwoju tej choroby.

Chorobę Parkinsona nie jest łatwo rozpoznać?

Rozpoznać chorobę na tym etapie jest naprawdę trudno, bo też w wieku, gdy człowiek robi się coraz starszy, to i węż mu się fizjologicznie pogarsza, i jelita gorzej pracują. Przyczyn depresji jest mnóstwo, więc nie jest to wcale tak łatwo powiązać z chorobami



Choroba Parkinsona to przewlekła, postępująca choroba neurodegeneracyjna

neurozwyrodnieniowymi. Łatwiej wykryć te objawy ruchowe, takie klasyczne, jak spowolnienie ruchów, drżenie jednej strony ciała, jednej ręki i sztywność mięśniową. Ta ostatnia często się objawia się przewlekłym bólem barku. Jedną czwartą pacjentów ma jako pierwszy objaw właśnie ból barku i on jest czasami powodem niepotrzebnych operacji kręgosłupa szyjnego czy wizyt u reumatologa albo ortopedy.

Operacji?

Jako neurologi często widzimy takich chorych. Neurochirurg zoperował kręgosłup szyjny choremu i nic to nie pomogło, a potem się okazuje, że ten ból minął, gdy chory otrzymał lek na chorobę Parkinsona, np. lewodopę, która jest podstawowym lekiem używanym w leczeniu cho-

roby Parkinsona. Jak powiedzieliśmy wcześniej, prekursorem dopaminy.

A czy rehabilitacja jest ważna?

Niesamowicie ważna. Od samego początku zalecam ją pacjentom jakby „na receptę”, niemalże zawsze wypisuje im na karcie, ile i jak mają się ruszać. Natomiast dla chorych, którzy są już na bardziej zaawansowanym etapie, potrzebna jest i domowa, i instytucjonalna rehabilitacja, bardziej nakierowana na rozwiązywanie konkretnego problemu, np. zaburzeń chodu (tzw. przymrożeń), które grożą upadkami i złamaniami. Jest to trudne, bo rzeczywistość tutaj brakuje rozwiązań systemowych. Program opieki koordynowanej, który do tej pory nie wszedł w życie, przewidywał konsultację z fizjote-

rapeutą i potem regularne ćwiczenia.

Do neurologa trudno się dostać...

No tak, bo specjalistów jest mało, wielu z nich pracuje już będąc na emeryturze. A liczba chorych rośnie, bo żyjemy dłużej. Jeżeli chodzi o całą neurologię, to największym problemem są właśnie choroby neurozwyrodnieniowe, z których wiele wiąże się ze starzeniem. Tylko w naszym województwie na przestrzeni od 2006 roku liczba chorych z chorobą Parkinsona prawie się podwoiła. Po pierwsze, żyjemy dłużej, ale wiele z tych chorób prawdopodobnie zależy także od zanieczyszczenia środowiska, skażenia żywności, rozpuszczalników, które są używane do produkcji ubrań, ale też pestycydów do produkcji roślin. Jak popatrzymy na mapę Stanów Zjednoczonych i największe obszary zagęszczenia osób chorujących na chorobę Parkinsona, to one się idealnie pokrywają z mapą obszarów rolniczych. Ale problem dostępności do specjalisty dotyczy także innych chorób, bo neurologia jest bardzo zróżnicowana – to przecież także cho-

roby naczyniowe (czyli udary mózgu), padaczka, choroba Parkinsona i Alzheimer, stwardnienie rozsiane, polineuropatie, zapalenia mózgu, guzy mózgu, bóle głowy i kręgosłupa Wiele różnych obszarów, w których obserwujemy w ostatnich latach znakomity postęp w diagnostyce i leczeniu.

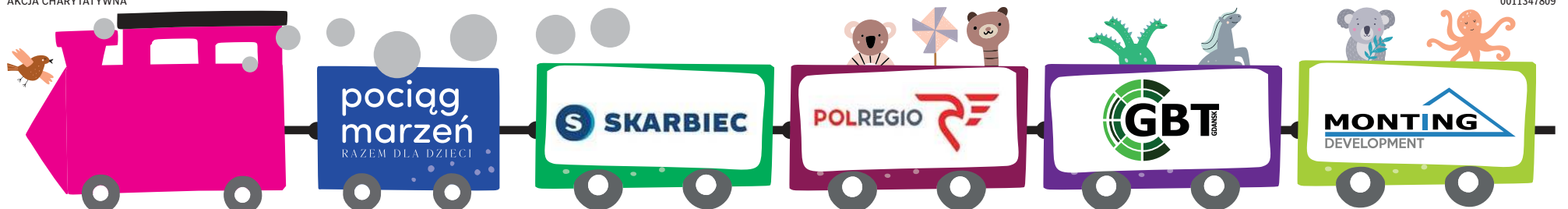
A czy u nas, w Polsce, też zwiększa się liczba chorych, czy mniej więcej jest stała?

W Polsce jest 45 tysięcy chorych ze stwardnieniem rozsianym, 90 tysięcy z chorobą Parkinsona, 400 tysięcy z chorobą Alzheimer. Niektóre choroby „rosną”, w innych liczba chorych jest podobna jak kiedyś, ale w stwardnieniu rozsianym mamy dla nich wiele leków (tutaj już ponad 20), co powoduje ogromną złożoność procesu leczenia i potrzebę specjalistów, czyli neurologów, jeszcze dodatkowo specjalizujących się w leczeniu jakiejś specyficznej choroby. Niestety, w tym kierunku wszystko się rozwija na świecie, ale nasze Ministerstwo Zdrowia nie chce tego dostrzec i wprowadzić sieci ośrodków referencyjnych, czyli takich z wyższym poziomem specjalizacji w danej chorobie. Taka ogólnopolska sieć, np. dla choroby Parkinsona, znacznie skróciłaby kolejki i „miotanie” się chorego w obecnym systemie, gdzie trafia do różnych ośrodków, a rozpoznania i leczenia jak nie było, tak nie ma. To jest też kosztowo nieefektywny system, nie mówiąc o zagubieniu w nim samych chorych.

Czy poradnia parkinsonizmu w szpitalu św. Wojciecha to jedyna taka placówka w Gdańsku?

Jedyna w Gdańsku i w zasadzie jedyna w całej północnej Polsce, bo nie ma takiej ani w Olsztynie, ani w Koszalinie. Poradnia przyjmuje wielu chorych z całej Polski, ale oczywiście najwięcej z województwa pomorskiego i z województw ościennych. Na pierwszą wizytę w naszej poradni trzeba jednak czekać minimum od sześciu miesięcy do roku.

AKCJA CHARYTATYWNA



0011347809

ORLEN JUNIOR CUP. WIELKI FINAŁ W GDAŃSKU WYGRANY PRZEZ ZESPÓŁ GOSPODARZY

Piękna pogoda, dzieci chętne do zabawy z piłką oraz rywalizacji, historyczny obiekt Lechii Gdańsk przy ul. Traugutta – tak wyglądał wielki finał Piłkarskiej Przyszłości z ORLENEM. Nie brakowało emocji, wrzusek, wybuchów radości. Najważniejsze jest jednak to, że młodzież spędziła czas aktywnie i na powietrzu.

Akademia Piłkarska ORLEN Gdańsk jest przykładem, jak można rozwijać futbol kobiecy w Polsce od podstaw. Najmłodsze trenujące dziewczynki mają sześć lat. W klubie są zespoły U-7, U-9, U-11, U-13, U-16, U-18 i wreszcie seniorki, występujące w ORLEN Ekstralidze kobiet. Kiedy powstawała akademia na pierwszym treningu pojawiła się jedna zawodniczka, a dziś trenuje ich około 130. Program Piłkarska Przyszłość z ORLENEM rozwija się dynamicznie. Jedne ośrodki odchodzą, w ich miejsce pojawiają się nowe, ale chętnych żeby się w nim znaleźć jest wiele.

Program się rozrasta

Bezcenne jest wsparcie ORLENU, bo dzieci z klubów należących do programu otrzymują sprzęt sportowy, treningowy. Najważniejszym dodatkiem jest autorski plan szkolenia. Wszystkie ośrodki mają dostęp do systemu zarządzania szkołą i każda grupa może stworzyć własny program.

- Dokonałmy ostatnio kilku korekt. Z częścią ośrodków pożegnaliśmy się po kilku latach, a przybyły cztery nowe i właśnie przed chwilą podpisaliśmy z nimi umowy o współpracy – powiedział Tomasz Bocheński, prezes klubu AP ORLEN Gdańsk.

- To już dwunasta edycja turnieju, a bierze w nim udział osiemnaście ośrodków – dodaje Aneta Plotzka, trenera AP ORLENU Gdańsk. - W tym roku są cztery nowe, czyli Brodnica, Ozorków, Tarnów oraz Świnoujście. Program cały czas się rozwija, przybywa ośrodków i cieszy to, że coraz więcej dzieciaków ma okazję zagrać na stadionie przy ul. Traugutta. Fajne jest to, że wcześniej występowały dwa zespoły dziewczęce, czyli Gdańsk Ladies i Szczecin, a teraz dołączyły drużyny z Tarnowa i Ozorkowa.

Dobra zabawa, ale i gra o zwycięstwo

Podczas corocznego finału wszystkie zespoły pokazują swoje umiejętności na boisku i jak duży rozwój nastąpił w poszczególnych ośrodkach. Każdy

jednak chciał okazać się najlepszy.

- Ten turniej jest dla nas fajnym doświadczeniem i wiele możemy się nauczyć. Pokazać też nasze umiejętności, żeby kiedyś zagrać w reprezentacji Polski. Chcemy wygrać, ale liczy się też fajna zabawa i jak najwięcej chcemy skorzystać z tego turnieju. Wiążę przyszłość z piłką nożną. Chcę się rozwijać, grać w reprezentacji i w zagranicznych klubach – powiedziała Amelia Soja z klubu AP ORLEN Gdańsk.

- To cenne doświadczenie, pokazanie swoich umiejętności i fajna zabawa. Oczywiście chcemy wygrać turniej. Mi także zależy na rozwoju, grze w drużynie narodowej i w klubach z Hiszpanii – dodała inna zawodniczka z zespołu AP ORLEN, Blanka Pączek.

Wyniki ćwierćfinałów: Czechowice Dziedzice - Brodnica 0:1, Ustka - Chojnice 1:2, Gdańsk Ladies - Kartuzy 4:1, Tarnów - Gdańsk 0:3. W półfinałach Chojnice wygrały z Brodnicą 1:0, a Gdańsk z Gdańsk Ladies 4:1. W spotkaniu o trzecie miejsce Brodnica pokonała Gdańsk Ladies 3:0, a w wielkim finale Gdańsk okazał się lepszy od Chojnic wygrywając po dogrywce 3:2.

- Przez lata mamy wypracowany schemat turnieju i on wygląda podobnie. Oczywiście zmieniają się uczestniczące w nim dzieci. To jest fajne, że turniej daje nam corocznie możliwość przeglądania kolejnych roczników, które biorą udział w programie Piłkarska Przyszłość z ORLENEM. Cieszę się, że pogoda dopisała, a gościnność pięknego obiektu przy ul. Traugutta daje nam możliwość zorganizowania takiej imprezy – nie ukrywa Bocheński.

Zmaganiom na boisku przyglądała się z boku Patrycja Falborska, trenera zespołu seniorek w AP ORLENIE Gdańsk.

- Takie turnieje to fajna okazja, żeby się pokazać i pobawić piłką. My, jako trenerki, najbardziej cieszymy się, że coraz więcej dziewczynek chce grać w piłkę nożną. Na takim etapie to jest zabawa, ale na pewno każdy z głowie ma wynik.



Wszystkie drużyny walczyły o jak najlepszy wynik



Ważne było również, że młodzież aktywnie spędziła czas na świeżym powietrzu



Reprezentant Polski i ambasador Piłkarskiej Przyszłości z ORLENEM Adam Buksa rozdawał autografy i robił zdjęcia z uczestnikami

O niego trudno jak się zapomina o tym, żeby grą się cieszyć. Zachęcam, żeby piłka nożna sprawiała jak największą radość. Celem numer jeden jest, żeby dzieciaki jak najdłużej chciały uprawiać sport i żeby czerpały

radość – nie z siedzenia przy komputerze, ale żeby poznawać pasję, jaką jest piłka nożna – powiedziała Falborska.

Dla zawodniczek i zawodników taki turniej to rywalizacja o zwycięstwa, dążenie do suk-

cesu, ale też świetna zabawa na piłkarskich boiskach.

- To najważniejszy punkt programu, który opiera się na popularyzacji piłki nożnej. Aspekt szkoleniowy oczywiście jest ważny, ale koncentrujemy się

na tym, aby to nie były tylko dzieci najbardziej uzdolnione. Próbujemy wykorzystać powszechność piłki nożnej, aby jak najwięcej dziewczynek i chłopców uprawiało sport. Uczestnicy na pewno powiedzą, że liczy się wynik. Dla nas ważne jest to, żeby dać możliwość rywalizowania na imprezie, która ma oprawę niemalże międzynarodową – powiedział Bocheński.

- Najważniejsze, że fajnie można spędzić weekend na boisku, i na sportowo – nie ukrywa Plotzka.

Buksa przyciągnął uwagę uczestników

Dla zawodniczek i zawodników dużą atrakcją było pojawienie się na turnieju Adama Buksy, reprezentanta Polski i byłego zawodnika Lechii Gdańsk. Dzieci lgnęły do niego, chciały zrobić sobie zdjęcia albo otrzymać autograf.

- Super widzieć młode dziewczyny i chłopaków rywalizujących na boisku. Przypominają mi się moje młodzińcze czasy, kiedy grałem w takich turniejach. To jest niezapomniana przygoda. Fajnie wrócić na stary stadion Lechii i widzieć uśmiechnięte twarze dzieci. Jeśli ma się marzenia, to każdy dzień może przybliżyć do tego, by zostać profesjonalnym piłkarzem na dobrym poziomie. Wiele składowych musi się złożyć, żeby podpisywać dobre kontrakty i grać w reprezentacji. To jest super przygoda, ale w sporcie pamięta się zwycięzców, więc ważne, żeby zaszczyścić dążenie do wygrywania. Piękna pogoda, więc wszystko przemawia za tym, żeby wyjść na boisko. Komputer i telefon zajmują nasz czas, więc cieszę się, że widzę tyle dzieciaków, które wybierają aktywność sportową. Takie inicjatywy, które wspierają rozwój młodzieży trzeba chwalić. Wszystkim mogę doradzić, żeby cieszyli się piłką, grali jak najwięcej, a jak mają okazję wyjść na podwórko i pograć, to niech to robią, bo wtedy jest nadzieja, że piłka im się nie zmudzi. Tak wszystko się zaczyna, a profesjonalizm futbolu to już późniejszy etap – powiedział Buksa, ambasador 12. edycji Piłkarskiej Przyszłości z ORLENEM. ©©



W środę 9 lipca ruszył kolejny sezon wystawiania „Wesela Kaszubskiego”

NAJGŁOŚNIEJSZE WESELE NA KASZUBACH

„Wesele Kaszubskie” wróciło w nowym sezonie! Widowisko stanowi świetną rozrywkę, ale jest też interesującą prezentacją weselnych tradycji regionu. Nic więc dziwnego, że regularnie ogląda je pełna sala widzów

Maciej Krajewski



Do świętowania wielokrotnie zapraszani są także widzowie



Przez zespół przewinęło się 200 osób

Lipiec na Kaszubach to okazja do wzięcia udziału w tradycyjnej uroczystości weselnej. Wszystko za sprawą prezentowanego przez zespół Chmielanie „Wesela Kaszubskiego”. Co roku, dwa razy w sezonie letnim, artyści występują na scenie Domu Kultury w Chmielnie, ukazując szczególne obyczaje towarzyszące zaślubinom.

Widzowie też są zaproszeni

W programie jest więc m.in. polterabend, czyli spotkanie rodziny przyjaciół i gości w przeddzień wesela. Można też ujrzeć charakterystyczne elementy ślubu oraz późniejszej zabawy: ubieranie panny młodej, wręczanie podarków oraz liczne tańce. Jak podkreślają sami artyści, bawi się tu każdy z uczestników wesela - od pary młodej, poprzez ich rodziców, aż po najmłodszych weselników i służbę (która tańczy w drewnianych chodakach).

Do świętowania wielokrotnie zapraszani są także widzowie. Chętni mogą np. sypnąć groszem, by zatańczyć z panną lub panem młodym.

Nie brakuje też częstowania chlebem i, jak na Kaszuby przystało, tabaką.

Na spektakl przybywa wielu turystów spoza regionu, dlatego Chmielanie zawsze starają się przekazać również nieco wiedzy ogólnej. Artyści opowiadają zebranym o tradycyjnych instrumentach kaszubskich - bazunie, burczybasie i diabelskich skrzypcach. Tuż przed końcem widowiska zaś wszyscy razem śpiewają „Kaszëbscë nótë”.

Spektakl niezmiennie popularny

W środę, 9 lipca ruszył kolejny sezon wystawiania „Wesela Kaszubskiego”. Wieczorny spektakl cieszył się tak dużą popularnością, że ledwo starczyło miejsca dla oglądających. Widzowie wielokrotnie wspierali artystów, klaszcząc w rytm muzyki. Ci natomiast, którzy znali słowa, chętnie przyłączali się nawet do śpiewania.

Po spektaklu zabawa przeniosła się jeszcze pod scenę. Wielu z obecnych od razu ruszyło do wspólnego tańcowania z Chmielanami.

Kolejny spektakl planowany jest 23 lipca (środa).

Na „Wesele Kaszubskie” trzeba mieć jednak stosowne zaproszenie - wejściówki w cenie 35 zł można zakupić bezpośrednio w kasie w Domu Kultury (także w dniu wydarzenia) lub online przez portal biletyna.pl. Widowisko rozpoczyna się o godz. 20.

Wesele pokazują już od 29 lat

Kaszubski Zespół Pieśni i Tańca „Chmielanie” powstał 24 września 1984 roku. Na pierwszą próbę zgłosiło się jedynie 17 osób, jednak już w styczniu 1985 roku grupa liczyła 34 członków. Pierwszy występ zespołu odbył się 2 czerwca 1985 roku w Szkole Podstawowej w Chmielnie, podczas Konkursu Recytatorskiego Prozy i Poezji Kaszubskiej. Chmielanie występowali wtedy jeszcze bez strojów regionalnych.

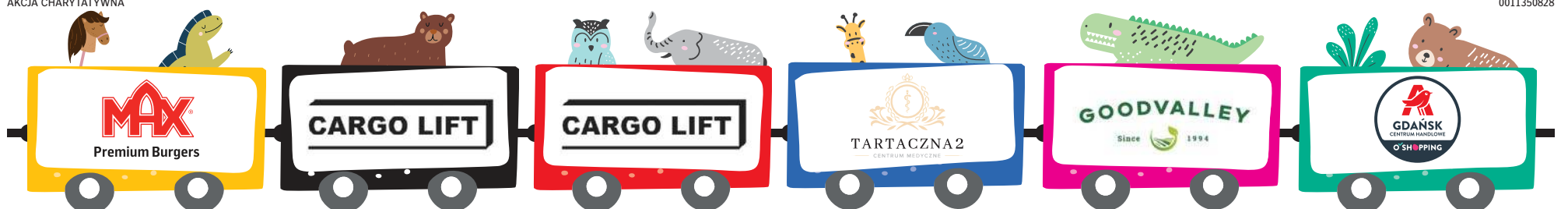
Od początku istnienia przez zespół przewinęło się 200 osób. W swoim repertuarze ma około 80 pieśni i 30 tańców. Choreografie tańeczne ułożyli Jan Właśniewski oraz Jerzy Soliwoda, który pełni funkcję choreografa do dziś. Obecną kierowniczką zespołu jest Maria Leszczyńska.

Samo „Wesele Kaszubskie” wystawiane jest od 29 lat. Poza dwoma występami latem na scenie Domu Kultury, Chmielanie prezentują je też niekiedy podczas wyjazdów zagranicznych, promując w ten sposób regionalne obyczaje w najodleglejszych zakątkach globu.

*NA SPEKTAKL PRZYBYWA WIELU
TURYSTÓW SPOZA REGIONU,
DLATEGO CHMIELANIE ZAWSZE
STARAJĄ SIĘ PRZEKAZAĆ RÓW-
NIEŻ NIECO WIEDZY OGÓLNEJ*

AKCJA CHARYTATYWNA

0011350828



REKLAMA

0011355725

 **MATARNIA**
park handlowy



**TU ZNAJDZIESZ WSZYSTKO,
CZEGO POTRZEBUJESZ**

HalfPrice
Great brands

home&you

YES

H&M

SEPHORA

Tkmaxx

MediaMarkt



WIELKIE WIATRANKI MOGĄ POPSUĆ WIDOK NA ZAMEK? A WTEDY CO Z UNESCO?

Rycerz Don Kichot z powieści Cervantesa walczył z wiatrakami jako wytworami swoich fantazji. Na Żuławach trwa też obecnie „walka”, ale z prawdziwymi elektrowniami wiatrowymi, planowanymi w okolicy dawnej siedziby prawdziwych rycerzy - zamku Malbork.

Radosław Konczyński

Zamek w Malborku z najstarszą częścią datowaną na lata 80. XIII wieku, dawna stolica zakonu krzyżackiego, późniejsza m.in. rezydencja królów Polski, jest jedynym na Pomorzu i jednym z 17 obiektów w Polsce figurującym na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Decyzją Komitetu Światowego Dziedzictwa z 1997 roku. Dzięki licznym odbudowom i pracom konserwatorskim ma się dobrze, ale w tej sprawie chodzi o widok na zabytek.

„Minister kultury i dziedzictwa narodowego ostrzega wójta Miłoradza o tym, że farmy wiatrowe w gminie stwarzają zagrożenie dla wpisu zespołu zamkowego w Malborku na listę światowego dziedzictwa UNESCO i mogą skutkować reakcją Komitetu Światowego Dziedzictwa, włącznie z wpisaniem obiektu na Listę Dziedzictwa Zagrożonego. Malbork może stracić UNESCO. Przez farmy wiatrowe i fotowoltaiczne krajobraz zamku na ryzyku statusu światowego dziedzictwa. Działajmy, zanim będzie za późno” - to wpis, który w ostatnich tygodniach rozszedł się po mediach społecznościowych, rozpowszechniany przez przeciwników wiatraków.

Chodzi o kilka elektrowni wiatrowych, które miałyby powstać w farmach Miłoradz 1 i Miłoradz 2. W czerwcu br. MKiDN przysłało w tej sprawie pismo do Urzędu Gminy Miłoradz. Wiceminister Bożena Żelazowska „uprzejmie informuje”, że obszar „znajduje się w strefie oddziaływania na obiekt wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO”. Natomiast planowanie inwestycji w granicach



Widok na malborski zamek od strony Żuław

obiektów światowego dziedzictwa lub ich strefach buforowych (a także w zasięgu ich krajobrazowej ekspozycji, tak jak w tym przypadku) wymaga przeprowadzenia oceny oddziaływania na dziedzictwo, która musi uwzględnić „wpływ inwestycji zarówno na ekspozycję czynną, jak i bierną obiektu światowego dziedzictwa oraz na integralność krajobrazu kulturowego Żuław”. Jej wyniki powinny zostać przekazane do Centrum Światowego Dziedzictwa za pośrednictwem MKiDN w celu wydania oceny w tej sprawie przez ciało doradcze UNESCO. Resort przypomina, że te kwestie regulują postanowienia „Konwencji w sprawie ochrony światowego dziedzictwa kulturowego i naturalnego” z 1972 r., której Polska jest stroną, a także wytyczne Komitetu.

„Uprzejmie proszę o przekazanie inwestorowi informacji o obowiązku przeprowadzenia oceny oddziaływania na dziedzictwo. Dodatkowo przypomina, że niewłaściwe zarządzanie krajobrazem w otoczeniu obiektu UNESCO może skutkować reakcją Komitetu, włącznie z wpisaniem na Listę Dziedzictwa Zagrożonego UNESCO. Mam nadzieję na pozytywną reakcję i konstruktywną współpracę w zakresie działań służą-

cych ochronie dobra wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa, zgodnie ze zobowiązaniami wynikającymi z Konwencji UNESCO” - napisała Bożena Żelazowska.

Dlaczego zdaniem resortu to tak ważne?

„Zamek w Malborku to unikatowy przykład średniowiecznej warowni, dominujący w otwartym krajobrazie Żuław Wiślanych. Wysokie turbiny wiatrowe, których wysokość ma

osiągać do 300 metrów, mogą w sposób trwały zniekształcić jego sylwetę i relacje widokowe, szczególnie w zakresie długich panoram i korytarzy ekspozycyjnych, np. Tczew - Malbork, Gorzędziej - Malbork” - argumentuje Bożena Żelazowska.

Zaburzenie ekspozycji

Pismo otrzymali również Narodowy Instytut Dziedzictwa, pomorski konserwator zabytków Dariusz Chmielewski, sołtys i mieszkańcy Starej Kościelnicy w gminie Miłoradz. Wojewódzki konserwator już wcześniej przedstawił swoje zdanie w sprawie planowanych farm wiatrowych. Przypomniał, że opinia PWKZ była już negatywna na etapie zmiany studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania, będącej podstawą do tworzenia nowych pla-

nów w zakresie rozszerzenia obszarów z OZE. W najnowszej opinii informuje, że „należy uwzględnić strefę ochrony panoramy i ekspozycji zespołu zamku krzyżackiego w Malborku zgodnie ze studium wartości zamku w Malborku w aspekcie lokalizacji farm wiatrowych opracowanym przez NID Oddział Terenowy w Gdańsku”. Wyjaśnia też, że „projektowana farma znajduje się w obszarze strefy ochrony ekspozycji zamku od strony Żuław na strategicznym kierunku ekspozycji biernej oraz w ciągu widokowym na trasie Końcówce - Mątowy Wielkie i w ekspozycji czynnej z zamku na tereny Żuław w kierunku Tczewa”.

Ponadto wskazuje, że „należy uwzględnić strefę ochrony przedpola ekspozycyjnego zespołu zamkowego zgodnie z polityką przestrzenną województwa pomorskiego, która brzmi: »Uwzględnianie w dokumentach planistycznych oraz decyzjach administracyjnych (miasta Malbork oraz gmin Lichnowy, Malbork, Miłoradz, Nowy Staw, Stare Pole, Stary Targ, Subkowy i Sztum) priorytetów ochrony walorów krajobrazu kulturowego ekspozycji i otoczenia obiektu UNESCO (projektowane strefy ochrony przedpola ekspozycyjnego zespołu zamkowego)«, dlatego należy wyznaczyć w granicach planu miejscowego strefę ochrony ekspozycji zamku od strony Żuław”.

To tylko część uwag wojewódzkiego konserwatora zabytków, natomiast co do meritum - on również uważa, że wysokość elektrowni wiatrowych będzie zaburzała krajobraz w kontekście ekspozycji zamku. Zdaniem służb konserwatorskich, tereny planowane pod wiatraki po-

*ELEKTROWNIE WIATROWE TO
JEST PRZYSZŁOŚĆ. JESTEŚMY
MAŁĄ GMINĄ, NIE MAMY ZAKŁADÓW PRACY,
NIE MAMY KOPALNÍ, A CHCEMY SIĘ ROZWIJAĆ*

AKCJA CHARYTATYWNA



0411352671

winny być „wyłączone z zabudowy i dogęszczania elektrowniami wiatrowymi oraz pozostawione jako tereny rolne z zakazem zabudowy”.

Słowa „uważa” jest kluczowe, bo to opinia, a nie nakaz czy zakaz. Dla zainteresowanych sprawą oznacza skrajnie co innego. Przeciwnicy wiatraków chcieliby widzieć to jako „opinię wiążącą”, ale władze samorządowe zawsze powtarzają, że jest to po prostu stanowisko, które w żaden sposób nie krępuje im rąk, które to ręce muszą jednak działać oczywiście zgodnie z prawem, włącznie ze wskazówkami od konserwatora.

Wiatraki 5 km od zamku?

W sprawie planowanych farm wiatrowych głos zabierało już Muzeum Zamkowe - jako opiekun miejsca, m.in. w związku z przygotowywanym audytem krajobrazowym województwa pomorskiego. W piśmie do marszałka przypomina, że zespół zamkowy „posiada dwie główne charakterystyczne panoramy, które historycznie były wielokrotnie utrwalane i których istnienie stanowi jeden z atrybutów przesądzających o wyjątkowej uniwersalnej wartości, będącej podstawą wpisu na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Z uwagi na brak ochrony obszarów ekspozycji istnieje zagrożenie wprowadzenia w otoczeniu zamku zabudowy, która może spowodować utratę tego atrybutu.

Z opracowań NID wynika, że sugerowany obszar wymagający wprowadzenia zakazu zabudowy wpływającej na czynną i bierną ekspozycję zamku powinien stanowić teren w promieniu ok. 8 km wokół zamku. Na zachód od zamku nie ma obszarów ochrony ekspozycji.

„Poruszamy tę kwestię ze względu na publikowane przez sąsiednie gminy (Miłoradz, Lichnowy, gmina Malbork), położone w bliskim sąsiedztwie zespołu zamkowego, informacje o przystępowaniu do zmian miejscowych planów, mających na celu umożliwienie realizacji farm wiatrowych, na terenach wchodzących w ekspozycję zamku malborskiego, w odległości nawet do 5 km od miejsca światowego dziedzictwa” - napisał dyrektor muzeum do marszałka Pomorza.

Kiedy można „stracić UNESCO”?

Czy Malbork faktycznie „może stracić UNESCO”? To stwierdzenie brzmi groźnie, ale... czy realnie? Na pewno nie jest

tak, że samo planowanie wiatraków miałyby się do tego przyczynić. Takie zagrożenie mogłoby się pojawić, gdyby faktycznie powstały olbrzymie turbiny w miejscach nieskonsultowanych z UNESCO. Zapytaliśmy w NID, co musiałyby się wydarzyć, żeby musiał ziszczyć się ten najczarniejszy scenariusz.

- Inwestycje związane z budową elektrowni/farm wiatrowych, przy obecnych technologiach, skutkujących możliwością wznoszenia masztów o wysokości do 300 m, są uznawane za jedno z mających największe oddziaływanie widokowe na kontekst krajobrazowy miejsc światowego dziedzictwa. Dlatego też od lat Komitet Światowego Dziedzictwa nakłada obowiązki zgłaszania tak niebezpiecznych działań inwestycyjnych do oceny organizacji doradczych - wyjaśniają nam eksperci Zespołu Zadaniowego ds. Miejsc Światowego Dziedzictwa NID.

Przypominają to, na co wskazuje MKiDN: że Polska zobligowała się do ochrony światowego dziedzictwa, więc jeżeli planowane są inwestycje, jak wielkie wiatraki w sąsiedztwie zamku, inwestor musi przeprowadzić ocenę oddziaływania na dziedzictwo zgodnie ze ściśle określonymi wytycznymi, a Polska musi ją przedłożyć do Centrum Światowego Dziedzictwa UNESCO.

- Jeśli procedury te nie zostaną prawidłowo przeprowadzone, zamek krzyżacki w Malborku, miejsce światowego dziedzictwa, może zostać objęte monitoringiem kontrolnym Komitetu Światowego Dziedzictwa (reactive monitoring), w toku którego Polska proszona będzie o składanie wyjaśnień i informacji o postępie w realizacji zaleceń Komitetu. Może być także poproszona o organizację misji monitorującej, aby umożliwić ekspertom ocenę sytuacji in-situ. Brak pozytywnych reakcji ze strony Polski na te zalecenia skutkował będzie zastrzeżeniem rekomendacji, wśród których może pojawić się zapowiedź, a następnie zalecenie wpisu na listę miejsc światowego dziedzictwa w zagrożeniu - wyjaśniają eksperci NID.

Kolejnym krokiem jest groźba skreślenia obiektu z Listy Światowego Dziedzictwa, ale też nie dzieje się to automatycznie. - Ostatecznością jest realizacja w formie decyzji Komitetu Światowego Dziedzictwa o skreśleniu z listy. Decyzja taka podejmowana jest po długim procesie starań o poprawę sytuacji, rzadko i z wielkim bólem, gdyż traktowana jest jako ostateczna po-



Widok na Żuławy z zamkowej wieży w Malborku

FOT. RADOSŁAW KONCZYŃSKI

rażka starań społeczności międzynarodowej o ochronę światowego dziedzictwa. W sytuacji inicjatyw budowy elektrowni/wiatrowych w sąsiedztwie zamku krzyżackiego w Malborku wszystkie działania powinny więc dotyczyć się z myślą o właściwym przeprowadzeniu wymaganych procedur i realizacji płynących z nich wniosków dotyczących możliwości lokalizacji tych inwestycji, tak aby wartości miejsca światowego dziedzictwa nie były zagrożone - odpowiada nam NID.

W sąsiedztwie zamku już istnieją elektrownie wiatrowe - kilkadziesiąt turbin w gminie Nowy Staw oraz 11 w gminie Miłoradz (w okolicy Gnojewa i Starej Kościelnicy). Tyle że są mniejsze od planowanych. Te w gminie Miłoradz mają maszty o wysokości 134 m, średnica łopat wiatraka to 132 m, więc łączna wysokość to ok. 200 m. Zdaniem wojewódzkiego konserwatora zabytków, to już zaburza ekspozycję zamku. Tymczasem w nowych turbinach wysokość samego masztu ma wynosić 300 metrów, a łączna przekraczałaby 400 m, stąd bierze się całe poruszenie. Dla porównania Wieża Eiffla ma 312 metrów, a Pałac Kultury i Nauki w Warszawie - ok. 230 metrów.

Historia kontra XXI wiek

Bez wątplenia na Żuławach na tle wiatraków doszło obecnie do pewnego „konfliktu” historii z nowoczesnością (odnawialne źródła energii jako nowe technologie), ale zderzenia przepisów prawa. Z jednej strony, energia z wiatru wpisuje się - tak mówią zwolennicy - w strategię bezpieczeństwa energetycznego kraju czy ochrony klimatu i norm narzucanych przez Komisję Europejską, a więc wypełnianie norm międzynarodowych w ramach UE. Na drugiejszali są - jak widać

- również normy międzynarodowe ustanowione dla takich obiektów jak zamek.

Tymczasem, co padło także podczas niedawnego spotkania w Lichnowach na temat planowanych farm wiatrowych (mowa o 24 turbinach), Żuławy to obszar pożądanym przez inwestorów OZE, z dużą liczbą wietrznych dni przynoszących energię i pieniądze. Pieniądze także dla budżetów samorządów z tytułu podatku od budowl. Na przykład wójt Lichnowy uważa, że dla jego gminy to duża szansa na rozwój.

- Elektrownie wiatrowe, które mają powstać na naszym terenie, to jest przyszłość. Jeśli turbiny będą się kręciły u nas, to te „wykręcone” pieniądze wrócą do mieszkańców w postaci różnego rodzaju inwestycji, dzięki temu, że w budżecie gminy będą środki na wkłady własne do projektów. Jesteśmy małą gminą, nie mamy zakładów pracy, nie mamy kopalni, a chcemy się rozwijać - mówi Jan Michalski, wójt Lichnowy.

Zarówno tu, jak i w gminie Miłoradz plany miejscowe są na etapie opracowywania. Bliżej końca tego procesu są władze Lichnowy. Biura architektoniczne wyłonione przez wójtów w przetargach muszą przygotować plany zgodnie z całokształtem polskiego prawa. Gdy dokumenty będą gotowe, w ramach wyłożenia publicznego uwagi będą mogli składać mieszkańcy. Potem plany w postaci projektów uchwał trafią pod obrady rady gmin na komisjach i sesji. To, czy i w jakiej formie zostaną uchwalone, zależeć będzie od rady. Jeśli plany zostaną przyjęte w formie uchwał, dla inwestorów będzie to dopiero pierwszy z kilku kroków do budowy elektrowni i uzyskania pozwolenia na ich użytkowanie.

- Na razie nie ma żadnego wiatraka. Jesteśmy na początku

procedury opracowywania planów. Może faktycznie się okazać, że w planowanym miejscu wiatrak nie będzie mógł stać i trzeba będzie go przesunąć lub w ogóle nie będzie mógł powstać - mówi nam Arkadiusz Skorek, wójt Miłoradza. - Rozumiem, że sensacje są fajne, ale uspokoiłbym mieszkańców, bo co do tego, żeby zamkowi już grozi wykreślenie z listy UNESCO, nic mi nie wiadomo. Napisało do mnie MKiDN i nie powiedziałbym, że ostrzega, tylko prosi o dokumenty jako jedna z instytucji do uzgodnień, czyli wszystko dzieje się w normalnej procedurze. Procedura planistyczna ma określone wymogi. MKiDN przysłał pismo z informacją, że trzeba przedstawić, jak wyglądałaby ekspozycja zamku w związku z planem realizacji farm wiatrowych.

Wójt Miłoradza zwraca też uwagę na paradoksy: - Gdybyśmy spojrzeli na miasto Malbork i zamek z innych stron, nie od strony naszej gminy, to trzeba by chyba wyburzyć komin cukierni albo wieżowce - dodaje Arkadiusz Skorek.

Pewnie gdyby i komin, i wieżowce miały powstawać w obecnych czasach, to NID i konserwator zabytków wypowiedzieliby się w tej sprawie. Natomiast zbudowane były w okresie, gdy zamek jeszcze nie znajdował się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Autorką ostrzegawczego wpisu o tym, że „Malbork może stracić UNESCO”, jest Katarzyna Kostrzewa-Rzoska, mieszkanka Starej Kościelnicy.

- Jest to poważne pismo i wcale nie jest to normalna procedura - mówi o korespondencji z MKiDN. - Minister kultury i dziedzictwa narodowego nie zawsze zajmuje stanowisko, ale wzywając pod uwagę obszar oddziaływania na zabytek klasy światowej, przedstawia wójtowi

konieczność uzgodnienia z UNESCO jego zamierzeń dotyczących obstawienia zamku kolejnymi farmami wiatrowymi. To nie jest zwyczajna sprawa, a zbagatelizowanie tego sygnału ze strony wszystkich interesariuszy spowodować może bezpowrotnie niepowetowaną stratę dla miasta, powiatu i całego regionu.

Dlatego przeciwnicy wiatraków złożyli do Sejmiku Województwa Pomorskiego wniosek (czeka na rozpatrzenie) o ustanowienie Obszaru Chronionego Krajobrazu „Żuławy Malborskie”.

- To zablokowałoby możliwość lokalizacji wszelkich tego typu inwestycji. Chodzi o realne zagrożenie przekształcenia Żuław Malborskich, w tym gminy Lichnowy, w obszar wielkoskalowych inwestycji OZE. Jako lokalna społeczność wyrażamy zdecydowany sprzeciw wobec jakichkolwiek farm wiatrowych, nawet jednej turbiny, a także farm fotowoltaicznych i biogazowni, teraz i w przyszłości. Chcemy zabezpieczyć nasz teren trwale i jednoznacznie, niezależnie od rodzaju i skali przyszłych projektów - argumentuje Tomasz Bieliński, mieszkaniec gminy Lichnowy.

Ochrona krajobrazu to jeden z argumentów. Przeciwnicy podają jeszcze możliwy spadek wartości nieruchomości czy wpływ na zdrowie (hałas) i po prostu pozbawienie spokoju, bo jak argumentują, nie chcą żyć „w strefie przemysłowej, otoczeni z każdej strony wiatrakami”.

* * *

Na Liście Dziedzictwa Zagrożonego UNESCO znajduje się obecnie blisko 60 obiektów na całym świecie, wśród nich zniszczone lub zagrożone zniszczeniem z powodu wojen, innej niszczycielskiej działalności człowieka, klęsk żywiołowych. To zarówno obiekty dziedzictwa kulturowego, jak i naturalnego, m.in. starożytne ruiny Palmiry, Aleppo czy Damaszek w Syrii, posągi Buddy w dolinie Bamiyan w Afganistanie zniszczone przez Talibów, Stare Miasto w Jerozolimie, Betlejem, Parki Narodowe w Demokratycznej Republice Konga, Etiopii i Senegalu, lasy deszczowe Sumatry i Madagaskaru, znajdująca się w Belize najdłuższa rafa koralowa na półkuli północnej, przystań Pier Head w Liverpoolu (ze względu na planowaną na tym terenie budowę nowoczesnej inwestycji), groby królów Bugandy w Ugandzie, strefa archeologiczna Chan Chan w Peru, Timbuktu w Mali.

„Katarzyna Kostrzewa-Rzoska

To nie jest zwyczajna sprawa, a zbagatelizowanie może spowodować może niepowetowaną stratę dla miasta, powiatu i regionu

ŻYŁEM JAK NA KSIĘŻYCU PRZEZ KILKANAŚCIE DNI

- Dwa razy mieliśmy też problem ze służą powietrzną, musieliśmy wtedy zastosować odpowiednie protokoły, zresetować system i przywrócić jego działanie.

Byłem również odpowiedzialny za naprawę łazika, którego używaliśmy podczas symulowanych space-rów księżycowych – opowiada Karol Kołacz, student Politechniki Rzeszowskiej, który 18 dni spędził na analogowej misji na Księżycu

Marlena Bogdan - Marut

Karol, jesteś studentem Politechniki Rzeszowskiej, przewodniczącym Rady Studentów przy Prezesie Polskiej Agencji Kosmicznej i... spędziłeś 18 dni na Księżycu.

No, prawie na Księżycu (śmiech), ale reszta się zgadza. Brałem udział w misji symulującej pobyt astronautów na Księżycu.

Jak ta misja wyglądała, co tam robiliście?

Oczywiście. Misja miała oznaczenie M3.25. To oznacza trzecią misję w 2025 roku. Misja nazywała się Terminus i została zrealizowana w ośrodku badawczym Lunares w Pile, na terenie byłego lotniska wojskowego.

Trudno mi sobie wyobrazić, że w Polsce jest budynek, w którym zamyka się ludzi, by symulować pobyt na Księżycu.

Cały kompleks, nazywamy habitatem, powstał na bazie dawnego schronu przeciwlotniczego. Osoby biorące udział w misji mają się poczuć tak, jakby naprawdę znajdowały się na Księżycu. Misja składa się z trzech etapów: przygotowania (spotkania online i szkolenia na miejscu), samej misji - 14 dni pełnej izolacji oraz postflightu, czyli podsumowania misji, badań i zgłoszenia usterek.

Czyli jesteście zamknięci jak w statku kosmicznym, który ma wylądować na Księżycu? Łączycie się ze światem tylko przez technologię? Macie ograniczoną ilość wody, jedzenia?

Dokładnie tak, ale może zacząć od opisu bazy. To stary schron przeciwlotniczy na byłym lotnisku wojskowym, zaadaptowany na symulowaną powierzchnię Księżyca.

Do niego do-budowano moduły imitujące bazę księżycową – nie statek, tylko bazę na Księżycu lub Marsie, w zależności od tematu misji. U nas była to baza księżycowa. Byliśmy odizolowani od świata zewnętrznego. Nie mieliśmy dostępu do mediów społecznościowych. Mój telefon był przez cały czas w trybie samolotowym. Internet był dostępny, ale bardzo ograniczony, bez transmisji, bez telewizji. Kontakt z bliskimi mieliśmy tylko przez e-mail, raz dziennie, wieczorem, mogliśmy na to przeznaczyć godzinę może półtorej. Internet mogliśmy też wykorzystywać np. do znalezienia instrukcji technicznych dotyczących eksperymentów czy na praw. Jeśli chodzi o zasoby, mieliśmy 2000 litrów wody na 14 dni. Dzieląc to na sześć osób, wychodziło około 185 litrów dziennie na całą załogę. Z tej wody korzystaliśmy do prysznicy, mycia naczyń, eksperymentów biologicznych, sprzątania. Więc prysznic trzeba było brać bardzo oszczędnie (śmiech). Wcześniej, przed tą misją, sądziłem, że 5 litrów wody na prysznic to taki standard. Taki 5-minutowy prysznic. Okazało się, że nie do końca.

W ilu minutach musiałeś się zmieścić?

To nie tyle kwestia minut, co litrów, bo wszędzie mieliśmy wodomierze: na każdym kranie, w każdym prysznicu. Byłem inżynierem misji, więc codziennie rano i wieczorem spisywałem wskazania liczników. Na tej podstawie analizowaliśmy zużycie wody, gdzie schodzi jej najwięcej, gdzie trzeba ograniczyć, żeby wystarczyło nam te 2000 litrów na całą misję.



FOT. BARBARA GALAS

Karol Kołacz: - Budziliście się przed 8:00, a o 8:00 mieliśmy obowiązkowe badania medyczne. Mierzono nam temperaturę, saturację, ciśnienie i wagę

Bez mycia głowy używałem około 3 litry, z myciem głowy – 4,5 litra. I naprawdę trzeba było się spręzać. To była jedna z tych rzeczy, które uświadomiły mi, ile wody zużywamy na co dzień, szczególnie w kuchni. Zmywanie naczyń, przygotowywanie posiłku – i to jednego! – potrafiło pochłonąć ponad 20 litrów. A były dni, że w kuchni zużywaliśmy nawet 50 litrów. Musieliśmy więc reagować. Na przykład zatykaliśmy zlew, żeby woda się nie marnowała i można było w niej myć naczyń, zamiast pod bieżącą wodą. To był kolejny przykład wyzwania, z którym musieliśmy się mierzyć. Poza tym – całkowity brak światła słonecznego. I to było naprawdę odczuwalne. Zdarzało się, że wydawało mi się, że jest już 17:00, bo tyle się wydarzyło w ciągu dnia. A patrzę na zegarek – 14:20. Porę dnia symulowały LED-y, które zmieniały swój kolor i natężenie. Rano, przed 8:00, światło było blade-szare, jak świt. Po 8:00

stawało się białe, a po 17:00 stopniowo przechodziło w żółte, pomarańczowe, aż do czerwonego około 22:00. No i oczywiście – ograniczone zasoby jedzenia. Pierwsze zadanie, które miałem razem z Tekkią – dziewczyną z Australii, członkinią naszej sześciuosobowej załogi – to polichenie wszystkich zapasów i rozdzielenie ich na osoby. Wyszło nam na przykład, że na dzień przypada półtora plasterka szynki na osobę. Albo dwa chleby na całą misję. Brzmi komicznie, ale musieliśmy tego przestrzegać. Inaczej mogłoby się okazać, że kilka dni przed końcem misji zabraknie chleba, konserw czy czegośkolwiek innego.

Czyli jedliście normalne jedzenie, a nie to, które dostają astronauty?

Tak i nie. Śniadania i obiady to były gotowe posiłki w proszku, wystarczyło zalać je wrzątkiem. Śniadania przypominały trochę kaszki dla dzieci, konsystencja była po-

dobna. Mieliśmy różne smaki, np. słony karmel albo banan. Dwie miarki proszku, wrzątek i gotowe. Mu-sieliśmy też prowadzić dziennik elektroniczny, w którym zapisywaliśmy kalorie i dokładnie, co zjedliśmy. Na obiad były gotowe dania, np. meksykańskie chili albo spaghetti carbonara. Smak różny. Jak już spróbowałem wszystkich, to trzymałem się do końca misji jednegło, który dało się zjeść. Kolacja była jedynym posiłkiem, który przygotowaliśmy sami. Korzystaliśmy z mrożonego mięsa, konserw, warzyw w puszkach. To był jedyny posiłek, który wyglądał jak „normalny” jedzenie. Ale śniadania i obiady to była typowa żywność astronautyczna w wersji „instant”.

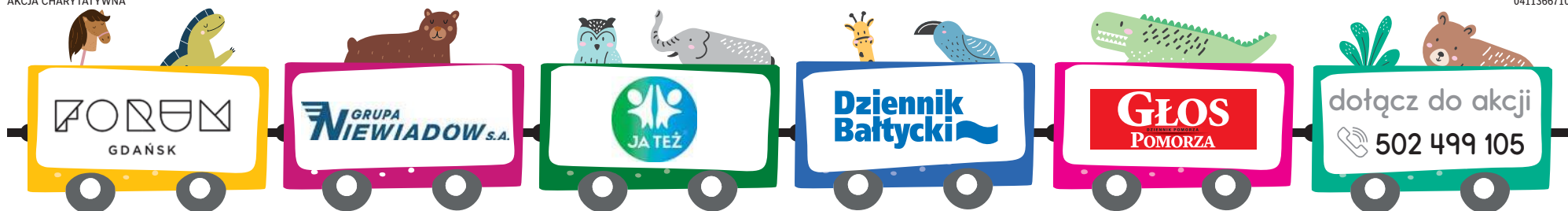
Jakie było twoje zadanie podczas misji?

Moim głównym zadaniem podczas misji było pilnowanie zużycia wody i energii. Codziennie, o 8:30 i 18:30, spisywałem wskazania wodomierzy i liczników prądu, żeby monitorować zużycie i sprawdzać, gdzie możemy zaoszczędzić. Drugą moją funkcją było dbanie o cały habitat, byłem inżynierem misji. Jeśli coś się zepsuło, to byłem odpowiedzialny za naprawę. Musiałem m.in. dbać o równomierne obciążenie trzech faz zasilania – habitat był zasilany jak stary wojskowy sprzęt, więc zdarzały się przebicia czy różnice napięć. Trzeba było je niwelować, żeby nie wywalało korków. Dwa razy mieliśmy też problem ze służą powietrzną, musieliśmy wtedy zastosować odpowiednie protokoły, zresetować system i przywrócić jego działanie. Byłem również odpowiedzialny za naprawę łazika, którego używaliśmy

podczas symulowanych spacerów księżycowych. Zepsuł się w nim układ zasilania, więc przez półtora tygodnia miałem z tym sporo pracy.

A jak wyglądał twój typowy dzień?

Każdy dzień zaczynał się podobnie. Budziliśmy się przed 8:00, a o 8:00 mieliśmy obowiązkowe badania medyczne – codziennie rano i wieczorem. Mierzono nam temperaturę, saturację, ciśnienie i wagę. Potem przeprowadzałem tzw. hub check, czyli spisywałem liczniki wody i prądu. O 9:00 było śniadanie, mieliśmy na nie godzinę, więc to był też czas na rozmowy i integrację w kuchni. O 10:00 dowódczyni Kato z Belgii i Tekkiya łączyły się z kontrolą misji – Leszkem i Agatą, założycielami Lunaresu. Rozmawiali o planie dnia, naszym stanie zdrowia i zadaniach. Po tej rozmowie przekazywały nam wszystkie informacje i ustalaliśmy priorytety. Następnie mieliśmy codzienne ćwiczenia fizyczne, co najmniej półtorej godziny dziennie. Prowadził je Roberto z Meksyku, student wychowania fizycznego, który chce zostać trenerem astronautów. Przygotował dla nas plan treningowy inspirowany tym, co robią astronauty w kosmosie, głównie ćwiczenia siłowe i cardio, żeby zapobiegać utracie masy mięśniowej. Mieliśmy bieżnię, ciężarki, ćwiczyliśmy też z masą własnego ciała. Po treningu każdy mógł wziąć jeden prysznic dziennie, ja zwykle robiłem to właśnie po ćwiczeniach, inni woleli po wieczorem. To był pierwszy moment w ciągu dnia, kiedy mieliśmy trochę swobody. Potem był lunch – 45 minut. Do tego momentu każdy dzień wyglądał tak samo. Później



dzieliłiśmy dni na dwa typy: dzień A i dzień B. Dzień A to dzień sesji projek-towych. Po lunchu dostawaliśmy infor-mację o jutrzejszym wyjściu na „Księżyc”: kto wychodzi, kto zostaje w habitacie, jakie są zadania. Uczyliśmy się proce-dur – awaryjnych, komunika-cyjnych. Ja na przykład musia-łem nauczyć się alfabetu Morse’a, Michał alfabetu NATO. Po tej części mieliśmy 3-3,5 godziny na indywidu-alne projekty. Ja zajmowałem się łazikiem LEO, Michał pra-cował nad drukami 3D, a Kato budowała system do symula-cji mniejszej grawitacji. Stwo-rzyła urządzenie, które na bieżni zmniejszało wagę, z moich 80 kg zrobiło 37. Dzięki temu mogliśmy poczuć się, jakbyśmy naprawdę cho-dzili po Księżycu.

Aaaa, widzisz myślałam, że ta aplikacja miała was rzeczywi-ście trochę odchudzić.
Nie, nie, nie, ale cała misja sprawiła, że rzeczywiście schudłem.

Czyli całkiem niezły obóz tre-ningowy! Ale powiedz , cały ten harmonogram, zajęcia, ru-tyna... Czy to rzeczywiście przypomina misję na Księżyc? Czy dlatego wszystko jest tak szczegółowo zaplanowane?
Myślę, że w dużym stopniu to przypomina codzienność

astronautów. Chodzi właśnie o rutynę, realizację projektów, współpracę w zespole, tak jak to wygląda teraz na Księżycu czy w innych misjach kosmicz-nych. Na przykład Sławosław Uznański - Wiśniewski zaj-muje się projektami badaw-czymi zgłoszonymi przez pol-skie podmioty współpracujące z Polską Agencją Kosmiczną. Z kolei astronauta z Węgier re-alizuje zupełnie inne zadania. U nas też każdy miał swoją specjalizację. Braliśmy też udział w badaniach realizowa-nych przez różne uczelnie np. w rozmowach z AI.

A dzień B jak wyglądał?

Dzień B był poświęcony przy-gotowaniom do symulowa-nego wyjścia na Księżyc. Samo ubieranie się zajmowało około 30 minut na osobę, więc za-wsze potrzebna była pomoc.

Zakładaliście prawdziwe ska-fandry?

Nie takie jak NASA, ale za-dbano o maksymalne podo-bieństwo. Najpierw zakładali-śmy strój sportowy, potem cienką warstwę osobistą, na to warstwę grzewczą, a na końcu zewnętrzny kombinezon. Do tego grube skarpety, ciężkie buty, dwie pary rękawic i hełm. Hełm nie był iden-tyczny jak w prawdziwej misji, ale każdy z nas miał plecak z systemem wentylacyjnym,

który tłoczył powietrze do hełmu. Bez tego poziom CO szybko by wzrósł. W hełmach były czujniki mierzące stęże-nie CO , temperaturę, wilgot-ność i inne parametry. Osoby, które zostawały w habitacie, monitorowały te dane na bie-żąco. Jeśli poziom CO był zbyt wysoki, obowiązywała proce-dura: przerwa, głębokie oddy-chanie, reset. To nie była sy-mulacja, to były realne dane z czujników.

Widziałam zdjęcia na Facebo-ku Lunares Research Station i one robią ogromne wrażenie, to naprawdę wyglądało jak Księżyc.

Tak, przestrzeń byłego schronu przeciwlotniczego zo-stała zaadaptowana na po-wierzchnię Księżyc. Nawie-ziono bazalt i inne skały, ufor-mowano nierówności terenu. Były też spe-cjalne lampy do symulacji dnia księżyco-wego lub ciemnej strony Księ-życza. My akurat byliśmy po tej ciemnej stronie, gdzie pano-wała całkowita ciemność. Wy-chodziliśmy przez służę po-wietrzną. Najpierw wchodzili-śmy do niej w pełnym stroju, uruchamialiśmy panel do sy-mulacji obniżania ciśnienia, czekaliśmy 10 minut, aż „znik-nie” powietrze. Mieliśmy wskaź-niki pokazujące po-ziom ciśnienia, a po otrzyma-niu zgody przez słuchawki wy-

chodziliśmy. Wszystko było koordynowane i zgodne z pro-cedurami, mieliśmy instrukcje na dwóch stro-nach A4, jak wejść i wyjść ze służy. Trzyma-liśmy się ich jak astronauta.

Jakie to było uczucie, wziąć udział w takiej misji?

To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie. W li-ceum, w klasie maturalnej, marzyłem o pracy związanej z kosmosem. Fascynowała mnie astronomia, ale dosze-dłem do wniosku, że w Polsce się tego nie da robić. Gdybym mieszkał w USA – może tak. Więc wybrałem drugą pasję: lotnictwo. Ta misja uświado-miła mi, że nawet w Polsce można robić rzeczy naprawdę kosmiczne. Ośrodek Lunares jest znany na całym świecie. Mieliśmy członków załogi z Australii, Wielkiej Brytanii, Meksyku, Belgii. To pokazuje, że nie trzeba wyjeżdżać, żeby robić coś wielkiego. Dlatego ta misja była dla mnie tak ważna.

Fajne jest też to, że takie misje, jak Terminus, pomagają roz-wijać odkrywanie kosmosu. Pozwalają testować nie tylko technologie, ale też przygoto-wanie psychiczne i fizyczne przyszłych astronautów. Ta-kie też było wasze zadanie. Ale... jesteś też przewodniczą-cym Rady Studentów przy Prezesie Polskiej Agencji

Kosmicznej. Co właściwie ro-bicie?

Nasza Rada składa się z 30 osób i naprawdę jest to bardzo ciekawa inicjatywa.

Słyszałam, że ta trzydziestka to najlepsi studenci z całej Pol-ski?

Można tak powiedzieć. Mamy otwarty nabór, każdy student może się zgłosić, ale liczba miejsc jest ograniczona, więc wybieramy tych najlepszych. Szukamy osób, które nie tylko mają osiągnięcia, ale też pasują do naszego modelu działania. Jesteśmy interdyscyplinar-nym ciałem doradczym, re-prezentujemy głos studentów w Polskiej Agencji Kosmicznej. Mamy regularne spotkania z przedstawicielami agencji i przekazujemy im sygnały z uczelni, np. o brakach w edu-kacji w zakresie nauk kosmicz-nych. Przekazujemy informa-cje o potrzebach studentów, np. tych działających w kołach naukowych, którzy odnoszą sukcesy międzynaro-dowe w zawodach łazików, rakiet, satelit. Chcemy, by ci młodzi naukowcy mieli lepsze wspar-cie i możliwości rozwoju.

Ale kosmos to nie tylko inżynieria, to też biotechnologia, lekarze, psycholodzy, prawni-cy specjalizujący się w prawie kosmicznym, a nawet student wychowania fizycznego,

który chce trenować przy-szłych astronautów.

Kosmos to ogromna dzie-dzina, potrzebni są ludzie z różnych środowisk. Mamy w Radzie nawet przedsta-wicieli uczelni wojskowych.

Słyszałam, że Polki przygoto-wują jedzenie dla obecnej mi-sji?

Tak. Sławosław Uznański - Wiśniewski zabrał ze sobą liofilizowane pierogi, wyprodu-kowane w Polsce. To poka-zuje, że nawet takie rzeczy, jak żywność, mogą być naszym wkładem w misję kosmiczną. W sumie Sławosław zabrał w ko-smos 13 eksperymentów zgło-szonych przez polskie pod-mioty. To niesamowita okazja do przetestowania angażują technologii w warun-kach mikrogravitacji. Jestem przekonany, że to zapoczątkuje w przyszłości.

A gdybyś mógł zadać astro-nautom jedno pytanie, to ja-kie?

Zapytałbym, jak wygląda Zie-mia z góry. Wielu astronautów mówi, że to zmienia perspek-tywę, po powrocie angażują się w ochronę środowiska. Chciałbym zapytać Sławosława, jakie to uczucie zobaczyć Zie-mię z kosmosu. Tylko około 635 osób w historii ludzkości miało taką możliwość.
© ©

REKLAMA

0011363908



Clematis 'Xerxes' 'Elsa Spath'



Clematis 'Taiga'®



Carex comans 'Bronco'



Imperata cylindrica 'Red Baron'



Pennisetum glaucum 'Purple Baron'

My paradise garden

CLEMATISY.PL

M.K.J. Wędras

Nowości 2025

RABAT 10%
Z KODEM
DZIENNIK25



Clematis 'Polish Spirit'



Clematis 'Miss Bateman'



Clematis 'Piilu'



Clematis 'Multi Blue'



Clematis Montana 'Marjorie'

PNĄCZA, KRZEWY, DRZEWKA, BYLINY I TRAWY

KWITNĄCE OZDOBNIE OWOCOWE

Bluszcz	Lilowie	Borówki Amerykańskie
Budleje	Magnolie	Figowce
Clematysy	Passiflory	Jagody Kamczackie
Hortensje	Rododendrony	Mini Kiwi
Jaśminy	Rozplenice	Porzeczk
Ketmie	Wiciokrzewy	Winorośle
Lilaki	Winobluszcz	Żurawiny

TOP 10
NIEZNISZCZALNYCH ROŚLIN

Clematis 'Polish Spirit'
Clematis 'Paul Farges'
Clematis 'Miss Bateman'
Clematis 'Piilu'
Clematis 'The President'
Clematis 'Multi Blue'
Clematis Montana 'Marjorie'
Turzyca Morrowa 'Ice Dance'
Turzyca włosista 'Bronco'
Turzyca Buchanana

tel. +48 885 955 703, tel. +48 885 955 705

* Kod rabatowy upoważnia do zniżki 10% na zakupy o wartości powyżej 100 zł w sklepie www.clematisy.pl
Rabat naliczany jest automatycznie po wpisaniu kodu w koszyku sklepu. Rabat nie łączy się z innymi promocjami.

KRZESIMIR DĘBSKI: RZEŹ WOŁYŃSKA NIE MIEŚCI SIĘ W GŁOWIE

– Polacy i Ukraińcy to jedna wielka wspólnota krwi. Żyliśmy jak jeden organizm, który się wspaniale rozwijał. Dziś znowu jesteśmy skazani na siebie. Ale bez prawdy nie da się żyć razem – mówi kompozytor Krzesimir Dębski, autor książki „Wołyń. Nic nie jest w porządku”

Anita Czapryn

Kiedy dziś myśli Pan o niedzieli 11 lipca 1943 roku, to co Pan czuje?

To kolejna rocznica, którą w mojej rodzinie bardzo się przeżywało, choć właściwie mogę powiedzieć, że nie za dużo się o tym mówiło. Był to dzień żałoby, bo wielu członków mojej rodziny wówczas zginęło. Ta tragedia dotyczyła rodziny mojego ojca; on sam, w „słynną” krwawą niedzielę 11 lipca 1943 roku, został bardzo ciężko ranny. Dodatkowo jest to przykra sprawa dlatego, że z tą rocznicą wiecznie były problemy. Przez lata, w czasach komunistycznych, nie wolno było o tym mówić. Potem nastąpiły niby normalne czasy, ale słyszałem: „Po co to przypominać?”. Wciąż też było to wykorzystywane politycznie i przez stronę ukraińską, i przez nasze władze również. I ciągle takie niesmaczne, obrzydliwe dwuznaczności się pojawiały.

Wciąż boli Pana pamięć, którą przekazali Panu rodzice?

Tak, boli, ponieważ jest to grzebanie w żywej ciągle ranie. Z powodów politycznych mówiono, że może lepiej o tym nie mówić, że to szkodzi stosunkom polsko-ukraińskim. Ekshumacje raz są, potem ich nie ma, Ukraińcy znowu się wycofują; to są przykre sprawy, bo jest to historia, którą ciężko będzie jakoś pozytywnie zakończyć. Ekshumacje, do których doszło jeszcze za prezydenta Juszczewskiego, a później te nie-liczne zresztą też, pokazywały prawdę. Czyli obalały to, co lansowała strona ukraińska: że byli to bratobójcze walki, że Polacy też mordowali. Ta narracja upada, ponieważ ekshumacje, które się odbyły, wykazały, że ofiarami Ukraińców są kobiety i dzieci.

Mężczyźni, Polacy, w 1939 roku, kiedy zaczęła się wojna, poszli do Wojska Polskiego. Inni zostali aresztowani, wywiezieni od razu przez NKWD na Syberię, wyładowali w łagrach czy zostali rozstrzelani w Katyniu. Jeszcze inni przedostali się przez Rumunię do wojsk polskich na Zachodzie. Ekshumacje, które wykonano, pokazały, że zamordowano niemowlęta, dzieci i kobiety, no i nie-licznych starców. Ta właśnie prawda wykazuje, że to unikanie, to ciągłe granie w sytuację, tym ludobójstwem na Polakach, że to jest tragicznie prawdziwe. Strona ukraińska musi przyznać, że mordowali nie żołnierzy, bo nie była to walka UPA i AK, tylko niestety dorośli mężczyźni z siekierami rąbali dzieci i kobiety.

Polska otrzymała pozwolenie na kolejną ekshumację na Wołyniu, chociaż od lat strona ukraińska odmawiała. Czy teraz ta zgoda to w Pana oczach ważny gest, mimo że Ukraińcy spodziewają się, że wyniki tej ekshumacji nie będą dla nich korzystne?

No i właśnie sytuacja jest taka, że w ogóle się zastanawiamy, czy to będzie dla nich korzystne, czy niekorzystne. A przecież jest prawda naukowa, tylko i tyle. I jest to tragiczna sprawa.

Ale dzisiaj, mimo wojny, Ukraińcy pozwalają na ekshumacje, mimo że wiedzą, że to będzie dla nich trudna prawda. To właściwy kierunek?

Przecież to powinno być zrobione jak najszybciej. Jest prawda, są fakty i nie ma co kombinować, oszukiwać, zamydlać sprawę. Ile lat już to mogło być zrobione i byśmy tylko w tę rocznicę składali kwiaty przy pomnikach.



Krzesimir Dębski: We współczesnych czasach nic się nie ukryje, więc nie ma sensu przeinaczać prawdy i kombinować coś na własną stronę

Minęło ponad 80 lat od tamtych tragicznych wydarzeń. Może stąd niektórzy pytają: czy warto te rany rozdrapywać?

W cywilizowanym świecie ran się nie rozdrapuje, tylko się upamiętnia takie tragiczne wydarzenia. Pisze się prawdę w podręcznikach i w dokumentach. I to wszystko.

A tego nie ma? Prezydent Zełenski razem z prezydentem Dudą oddawali hołd ofiarom Wołynia, ambasador ukraiński zawsze składa wieniec przy pomniku ofiar Wołynia. Nie było symbolicznego aktu z ukraińskiej strony: „Przepraszamy i prosimy o przebaczenie”?

Niby były, ale jakieś dziwaczne rzeczy. Najgorsze chyba jest to, że niestety na Ukrainie narasta kult Ban-

dery. Proszę zobaczyć: tworzy się filmy dokumentalne z pogrzebu żołnierzy, którzy zostali zabici, i pokazuje się flagi UPA. Żołnierze, którzy są patriotami ukraińskimi, mają już narzuconą narrację. Podręczniki pisane są przez skrajne partie nacjonalistyczne, w kulcie Bandery. Na pogrzebach są zdjęcia Bandery na sztandarach, sztandary upowskie, czarno-czerwone symbole. I nowe pokolenie nacjonalistów tak się wychowuje. W wyniku wyborów partie skrajne, jak to bywa w koalicjach, dostały resort oświaty, bo niby oświata jest nieważna. A niestety to ta strona pisze wtedy podręczniki według swojej nacjonalistycznej wersji.

Co Pana zdaniem dzisiaj jest najważniejsze w tej rozmowie o Wołyniu? Co powinno

być na pierwszym miejscu: pamięć, prawda, pojednanie?

Pamięć niby jest, ale właśnie najgorsze jest to, że nastąpiła taka ukraińska narracja nacjonalistyczna. To jest niedobre dla strony ukraińskiej, bo wykorzystuje to propaganda rosyjska. Rosjanie mówią: „Proszę bardzo, tu mamy nacjonalistów, upowców, banderowców, którzy są faszystami”. Mówi to Putin, mówi cała nacjonalistyczna strona rosyjska. I tak to upolityczniają, że niestety strona ukraińska podkłada się propagandzie rosyjskiej.

Był Pan dzieckiem, kiedy słyszał o rzezi wołyńskiej. Czy rodzice opowiadali o tym co-dziennie, czy tylko w szczególnych chwilach?

Jak byłem dzieckiem, to o szczegółach, tych makabrycznych sprawach, nigdy się w domu nie mówiło. Ale kiedy byłem nastolatkiem, to wtedy się dowadywałem. Ojciec pamiętał dokładnie. Malował obrazy, rzeźbił, robił dokumentację, pisał książki. Przy okazji były to też kartograficzne prace, za które pośmiertnie dostawał nagrody – na przykład album „Świątynie Wołynia”, w którym to ojciec z pamięci odtworzył i namalował wiele z nich. Ja w tych niektórych pracach upamiętniających również brałem udział, a więc o wszystkim wiedziałem dokładnie. Byłem w tym z całą swoją pamięcią.

Po latach pojechał Pan z mamą do Kisielina, gdzie wydarzyła się ta tragedia. Okazało się, że tam już nic nie zostało z tego, co pamiętali Pana rodzice. Czego Pan tam najbardziej szukał? Co chciał Pan znaleźć?

Mnie najbardziej bolało, że tam zostały tylko ruiny tak wspaniałych kościołów,

obiektów, pałaców. One były tak wspaniale zbudowane, a bez opieki, dewastowane, niszczone, a jednak dumnie do tej pory się ostały. Ale niestety fenomen jest taki, że tam jest szalona, straszna pustka. Kraina niegdyś tętniąca życiem gospodarczym, kulturowym, wszelkim teraz jest tylko pustką, to są tylko pola, nieużytki. Są też oczywiście duże gospodarstwa wykupione przez zagraniczne wielkie konsorcja. No ale jak się jedzie, to godzi-nami tylko ta pustka i pustka. Nic nie ma, a gdzieś tam pojawiają się ruiny kościoła.

Myśli Pan, że w Kisielinie mogłoby stać jakieś symboliczne miejsce pamięci, prawdziwe?

Niby były próby organizowania tam jakichś koncertów. Jeżdżą tam motocykliści z różnych środowisk w rocznicę, porządkują cmentarze, więc przynajmniej to jest. I to widzą Ukraińcy. Patrzą gdzieś z oddali, bo samych Ukraińców tam na miejscu nie ma. Ale słyszą, że przyjeżdżają motocykliści, że my dbamy o pamięć, która na Ukrainie w zasadzie nie bardzo istnieje. Oni sami czują, że nie można upamiętniać upowców, że to było coś złego.

Pytanie: czy to byli upowcy, czy to byli zwyczajni ludzie, mieszkańcy tych wiosek?

Przed wszystkim badania, jeszcze amatorskie, mojego ojca wykazały, że to absolutnie była zorganizowana akcja polityczna. Bo w ponad stu miejscowościach naraz, 11 lipca 1943 roku, zaatakowano kościoły, i to dokładnie wiadomo: jacy dowódcy, jakie to kręgi i że UPA to organizowała. I oczywiście przyłączyła się do tego, jak zwykle, tak zwana czerń. Sienkiewicz

o tym pisał, że chłopci z powodów finansowych chcieli coś uzyskać, ukraść, zamordować ludzi i przejąć po nich ziemię, przejąć meble, dobytek. Ojciec opowiadał, że czasami były to tak prymitywne rzeczy! Na przykład upowcy chwalili się, że przywłaszczyli sobie bucik zamordowanego żydowskiego dziecka. Chwalili się, że zdobyli taki wspaniały łup. Rzeczywiście potem wychodziły straszne rzeczy, ponieważ byli to bardzo biedni ludzie; po wszystkich zaborach rosyjskich, po wojnach, pierwszej strasnej wojnie światowej, potem rewolucji październikowej, potem znów jakieś anarchistyczne grupy plądrowały wsie i mordowały ludność. A jeszcze wcześniej była Mandżuria, bitwa, mój dziadek wylądował w carskim wojsku i działał się tam rzeczy straszliwe, które opisał wielu pisarzy. Teraz niestety mamy do czynienia z bardzo nieprzyjemnymi gestami prostych ludzi, Ukraińców. Niektórzy bardzo żałują, mają już świadomość tego, co się stało, bo narracja była taka, że tam też byli polscy bandyci, że bandyci polscy mieszkali, albo że Sowietci. Dobrze, że przynajmniej pamięć o tej zbrodni strasnej się jednak przebijają i przynajmniej jakaś grupa ludzi to

wie. Ale już na przykład ukraińscy pisarze ten temat omijają. A przecież pisarze powinni być ludźmi sumienia narodu. Tymczasem milczą nawet tacy, którzy przyjeżdżają do Polski, którzy w Polsce dostawali stypendia. Niestety, oni ten nacjonalizm gloryfikują i uważają to za wspaniały przejaw patriotyzmu i za wielki czyn narodu ukraińskiego.

Pana rodzice przebaczyli Ukraińcom?

Rodzice już od dawna nie żyją. Myślę, że po katolicku przebaczyli, chociaż z tego, co słyszałem, to ojciec cały czas mówił, że... Zresztą tego w ogóle nie można zrozumieć. Dlaczego to robili? Jak takie rzeczy można było robić? Można to porównać do hitlerowskiego ludobójstwa. To się po prostu nie mieści w głowie. Nie mieści się w sumieniu ani w myślach. I nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić, jak to uporządkować.

Pana rodzice przeżyli tę tragedię w dzień swoich zaręczyn.

No właśnie, to było też takie wyznanie miłości w czasie takiego napadu i ludobójstwa. Trudno nam to sobie wyobrazić, nam, którzy żyliśmy przez jakiś czas w czasach

spokoju. Teraz ze strachem myślimy, co jeszcze może nastąpić. Niestety.

Wciąż Pan wierzy, że warto o tym mówić? Dlatego po raz drugi wydaje Pan swoją książkę „Nic nie jest w porządku. Wołyń – moja rodzinna historia”?

No tak, absolutnie trzeba, ponieważ nacjonalizm czyha. Wciąż mamy jakieś takie zapędy; przecież budzi się to na Węgrzech, na terytoriach ukraińskich, i Słowacy też mają swoje pretensje do swoich granic, do tego porządku, który nastał po I wojnie światowej, kiedy rozpadło się imperium austro-węgierskie, które prosperowało prawie 150 lat. A tutaj potem zaczęło się rozpadać i terytorialne roszczenia i krzywdy wciąż są żywe. I znowu wychodzi z powrotem jakaś taka ludzka cecha, żeby jeden drugiemu coś zabrał, żeby się szarpać o coś, co uważają, że jest niby ich, a może powinno być wspólne. I niestety tak to się dzieje.

Pana rodzice opowiadali też o ukraińskiej rodzinie, którą pomogła Pana ojcu, pokazywali, że nie wszyscy Ukraińcy byli mordercami.

Rzeczywiście była ukraińska rodzina, z którą się spotykaliśmy i mamy te-

raz również kontakty. Ukraiński chłopak, osiemnastoletni, który nazywał się Parfeniuk, i mój dziadek Sławiński byli razem w wojsku carskim, no i potem, po tych strasznych przeżyciach, przyjaźnili się. I ta rodzina właśnie pomogła mojej rodzinie: wywieźli mojego rannego ojca, który w wyniku wybuchu granatu stracił nogę, i przewieźli go przez pozycje upowskie. Zawieźli do szpitala niemieckiego, bo Niemcy wtedy byli pomocną stroną, która pomagała Polakom w walkach z Ukraińcami. I w ten sposób, dzięki tej rodzinie, nasza rodzina przeżyła.

Dzisiaj Pana tata byłby zadowolony, że Pana książka wraca do księgarni?

Tak, myślę, że tak. Ojciec zajmował się upamiętnieniem tej tragedii bardzo długo. Odtworzył z pamięci, jak mówiłem, kościoły na Wołyniu i to, jak wyglądały, bo nie było zdjęć; proszę sobie wyobrazić, że zniszczono nawet zdjęcia. No i przynajmniej wiemy, jak te kościoły wyglądały, jakie wspaniałe były to tereny, gdzie Mikołaj Gomółka, renesansowy kompozytor, arystokrata, miał piękny teatr z muzyką z Włoch i polską muzyką, gdzie tworzyli wspaniali ludzie i sztukę, i piśmiennic-

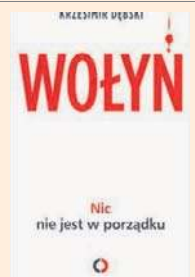
two. Więc dzięki ojcu coś z tego zostało. Na pewno mój ojciec miał trochę satysfakcji, chociaż nie dożył momentu, kiedy otrzymał nagrodę za najlepszy album historyczny wydany w Polsce w swoim czasie.

Co takiego Pan poczuł, co każe Panu napisać tę książkę? Był to jakiś rodzaj przymusu? I co Pan chce przede wszystkim zostawić czytelnikom?

W mojej książce w zasadzie dość mocny jest ten nacjonalistyczny wątek, ale przede wszystkim chodzi mi o pokazanie, że my byliśmy razem. Polacy z Ukraińcami, nasza arystokracja, nasi możni, władcy, nawet królowie byli pochodzenia ukraińskiego, a raczej ruskiego lub litewskiego. Wszystkie wielkie rodziny magnackie pochodziły stamtąd; to były wielkie fortuny, które mocno się osadziły na wschodnich terenach. I w sumie gdzie dzieci bogatych, możnych panów mieli się uczyć? Uczyli się w Polsce albo za granicą: we Włoszech, w Niemczech, w Königsbergu. A katolicyzm okazał się nowoczesną religią, był ważnym czynnikiem rozwoju materialnego i gospodarczego. Oni stawiali się Europejczykami, przechodzili na katolicyzm, bo to było

nowocześniejsze wyznanie. W kościołach była fantastyka muzyka instrumentalna, były organy, było malarstwo, można było malować portrety, które w prawosławiu były w kościołach zakazane. Unia brzeska sprawiła, że byliśmy jednym organizmem politycznym, który przez wieki wspaniale się rozwijał. Skutecznie walczyliśmy ze Szwedami czy innymi siłami politycznymi. A teraz znowu jesteśmy skazani na siebie, więc powinniśmy te wszystkie problemy rozwiązywać jak najszybciej, bez uników. We współczesnych czasach nic się nie ukryje, więc nie ma sensu przeinaczać prawdy i kombinować coś na własną stronę.

KSIAŻKA



Krzesimir Dębski: „Wołyń. Nic nie jest w porządku”. Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2025

AUTOPROMOCJA

0011362381

Rusza konkurs „Najlepszy Sklep i Usługa Lata 2025”!

Monika Latkowska
Nasza Akcja

Marzysz o tym, by Twoja firma zyskała uznanie klientów i rozgłos w całym regionie? Chcesz, by Twoja marka została wyróżniona i doceniona na łamach lokalnej prasy i w internecie? To idealna okazja!

Plebiscyt już zyskał renomę jednego z najważniejszych wydarzeń promujących lokalny biznes w województwie pomorskim. Organizowany przez redakcję „Dziennika Bałtyckiego” oraz serwatii „Nasze Miasto”, przyciąga właścicieli firm handlowych i usługowych, którzy nie tylko chcą się zaprezentować, ale i nawiązać głębszą relację ze swoimi klientami. Niektóre firmy biorą udział w konkursie rok po roku. Ich właściciele przyznają, że zaangażowanie klientów w głosowanie to coś więcej niż marketing – to prawdziwy sprawdzian lojalności, sympatii i jakości obsługi. Dla wielu z nich sam udział był początkiem większej rozpoznawalności i wzrostu zainteresowania ofertą. Wielu uczestników poprzednich edycji twierdzi, że konkurs pomógł im zbudować silniejszą pozycję na lo-

kalnym rynku i przyciągnąć nowych klientów. W poprzednich edycjach udział wzięło wiele sklepów, salonów, warsztatów, cukierni, gabinetów i punktów usługowych. Wielu z nich po zakończeniu konkursu odnotowało znaczący wzrost rozpoznawalności, liczby klientów, a także... dumy z bycia częścią lokalnej społeczności.

Najważniejsze informacje o plebiscycie

Zgłoszenia prowadzimy w dwóch kategoriach: „Najlepszy Sklep,” i „Najlepsza Usługa Lata”. O zwycięstwie decyduje liczba głosów oddanych przez klientów – zarówno za pomocą kliknięć w serwisie internetowym, jak i wiadomości SMS. Głosowanie ma transparentny charakter, a o jego sile decyduje społeczność. To Twoi klienci zdecydują, czy Twoja firma zasługuje na wyróżnienie. Dla laureatów przewidziano nagrody. Zwycięzcy otrzymają vouchery na kampanie reklamowe o wartości: 8 000 zł, 13 000 zł i 18 000 zł netto. To nie tylko tytuł, ale także konkretna możliwość dotarcia do tysięcy mieszkańców regionu poprzez



publikacje w prasie i serwisach internetowych należących do „Dziennika Bałtyckiego” i serwisów naszemiasto.pl. Jeśli więc prowadzisz sklep lub świadczysz usługi na terenie województwa pomorskiego, masz fizyczną placówkę dostępną dla klientów i chcesz

rozwijać swój biznes – ten konkurs jest dla Ciebie. To świetna okazja, by się wyróżnić, zdobyć nowe kontakty, umocnić wizerunek i przekonać klientów, że jesteś godnym zaufania liderem w swojej branży i warto skorzystać z Twoich usług.

Najważniejsze daty

Zgłoszenia przyjmowane są do 31 lipca 2025 roku. Głosowanie odbędzie się w dniach od 1 do 14 sierpnia 2025 roku – zarówno przez internet, jak i za pomocą wiadomości SMS. Ogłoszenie wyników nastąpi najpóźniej 15 sierpnia, a zwy-

cięzcy otrzymają nagrody w formie voucherów reklamowych. Zgłoszenia przyjmuje Paweł Świątkowski pawel.swiatkowski@polskapress.pl tel. 697770202.

Nie czekaj z decyzją. Zgłoś swoją firmę i daj się poznać szerszej publiczności.

PRZEŻYŁA WOŁYŃ. CZAS NIE ULECZYŁ RAN. OKRUTNE OBRAZY DO NIEJ WRACAJĄ

Eugenia Sobczak jest jedną z ostatnich weteranek II wojny światowej. Była radiotelegrafistką w szeregach 1. Armii Wojska Polskiego, z którą przeszła szlak bojowy aż do Berlina. Zanim jednak trafiła do wojska, przeżyła traumatyczny czas rzezi ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu

Lukasz Suchanowski

1 lipca po raz pierwszy w Polsce będzie obchodzony Narodowy Dzień Pamięci o Polakach - Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów) i UPA (Ukraińska Powstańcza Armia) na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej. 82 lata temu na Wołyniu miała miejsce „krwawa niedziela”, czyli kulminacyjny punkt rzezi wołyńskiej.

Celem ukraińskich nacjonalistów była nie tylko fizyczna eliminacja polskiej społeczności, ale także wykarczowanie śladów świadczących o wielowiekowej obecności polskiej na Kresach. W ocenie badaczy Ewy i Władysława Siemaszków, Ukraińcy zamordowali w bestialski sposób około 60 tysięcy Polaków na Wołyniu, 20-40 tys. w Galicji Wschodniej, co najmniej cztery tysiące na terenie dzisiejszej Polski (wschodnia Lubelszczyzna i Podkarpacie). Terror Ukraińskiej Powstańczej Armii spowodował, że setki tysięcy Polaków opuściły swoje domy, uciekając do centralnej Polski.

Ona, jako jedna z nielicznych, doczekała

Dla Kresowiaków z Wołynia, takich jak nasza bohaterka, ogłoszenie nowego święta to bardzo ważny dzień, na który długo czekała.

- Szkoła, że tak późno - mówi z żalem kombatantka. - Niewiele osób ocalałych z rzezi wołyńskiej doczekało tego dnia, a poprzednim rządowi nie zależało specjalnie na rozliczeniu zbrodni i kulturowaniu pamięci o ofiarach mordów ukraińskich nacjonalistów. Mam nadzieję, że społeczeństwo w kraju i Europie dowie się, co my, Polacy, przeżyliśmy na Wołyniu.

Eugenia Sobczak, rocznik 1927, podporucznik Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Mimo mocno nadszarpniętego zdrowia, pamięć ma doskonałą. Na tzw. ziemiach odzyskanych mieszka od 1945 roku, po tym,

jak została zdemobilizowana z frontu.

Swoje dzieciństwo przerwane wybuchem II wojny światowej w 1939 roku spędziła w Łucku, malowniczym mieście nad rzeką Styr, który był stolicą województwa wołyńskiego. Przed wojną miasto liczyło ponad 37 tysięcy mieszkańców. Łuck był wielonarodowościowym tygłem. Mieszkali w nim Polacy, Ukraińcy oraz Żydzi.

Tego nie da się zapomnieć

Sielankowe dzieciństwo przerwała inwazja niemiecko-sowiecka na Polskę w 1939 roku. Rodzinna miejscowość znalazła się najpierw pod okupacją rosyjską. Pani Eugenia była świadkiem wywózki Polaków na Sybir. W 1941 roku do Łucka wkroczyli Niemcy. Rok później szwagier pani Eugenii, Józef Wojnarowicz ps. „Fedor”, zaangażował nastoletnią Niusię (tak ją zdrobniale nazywano) do armii podziemnej. Przenosiła ukryte we włosach meldunki do placówek Armii Krajowej.

- Jak Niemcy wkroczyli na Wołyń, to chodziła taka pogłoska, że podburzają Ukraińców przeciwko Polakom - obiecując samoistną Ukrainę. Wtedy zaczęły się ukraińskie mordy na Polakach, których apogeum przypadło na rok 1943. Widziałam rzeczy okrutne, w które wiele osób nie może uwierzyć - opowiada pani Sobczak.

- W czasie walk zniszczono wszystkie mosty i nad rzeką wybudowano kładkę. Kiedy Ukraińcy zaczęli mordować w okolicznych wioskach, zmasakrowane zwłoki Polaków wrzucali do rzeki. Te ciała zatrzymywały się na tej kładce i były sytuacje, że żeby przejść z jednej dzielnicy do śródmieścia, musiałam przechodzić przez te martwe ciała. Nie zapomnę widoku dwóch kobiet z wydłubanymi oczami i obciętymi piersiami. Bałam się, ale musiałam iść - mówi ze łzami w oczach.

Starsza pani nie zapomni również pamiętnej Wigilii z 1943 roku, podczas której ludzie ucie-



FOT. LUKASZ SUCHANOWSKI



FOT. ARCHIWUM RODZINNE



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

kali prosto od świątecznych stołów z wiosek i przedmieść do śródmieścia Łucka przed napadami banderowców.

- Nie zapomnę, jak śpiewaliśmy z rodziną kolędy. Nagle przyszedł sąsiad szklarz i zawołał, żebyśmy uciekali, bo Ukraińcy nadchodzą. W ciągu kilku chwil spakowaliśmy się i udaliśmy się do mojej starszej siostry, która mieszkała w śródmieściu. Był wtedy istny exodus - wspomina.

Kiedy wróciła do swojego domu, to niejednokrotnie przechodziła przez spalone posesje. Widziała pomordowane niemowlęta nabite na płoty czy rozkawałkowane siekierami ciała swoich sąsiadów leżące przed domami.

Takich podobnych drastycznych obrazów 98-lątka zapamiętała bardzo wiele. Kiedy przebywała we wsi Marianówka u swojego wujka, zapamiętała nieudane natarcie ukraińskich nacjonalistów na wioskę, po którym napastnicy obcinali i zabierali głowy swoich poległych banderowców.

- Robili to po to, aby nikt nie rozpoznał, z jakiej miejscowości pochodzili poległy Ukraińiec. Oni się obawiali polskich odwetów - dodaje.

Frontowa telegrafistka i artystka

Rok 1944 przyniósł nieoczekiwane zmiany. Na Wołyń wkroczyła ponownie Armia Czerwona, a wraz z nią 1. Armia Wojska Polskiego.

Eugenia Sobczak jako 17-letnia dziewczyna zgłosiła się na ochotnika do wojska. Została radiotelegrafistką. Pamięta do dziś, jak szkoliła się na telegrafii Bodo. W czasie jednego

z bombardowań została ranna. Z Samodzielnym Batalionem Łączności brała udział w operacji berlińskiej. Będąc na froncie, rozpoczęła swoje pierwsze występy na scenie jako śpiewaczka.

- W wolnym czasie bardzo lubiłam śpiewać. Moje umiejętności spostrzegł jeden z oficerów, który rozkazał mi nauczyć się „Piosenki o mojej Warszawie”. W ówczesnych podwarszawskich Włochach znajdował się teatr i na przedstawieniu zaśpiewałam tę piosenkę. Dostałam olbrzymie, entuzjastyczne okłaski i bukiet polnych kwiatów - wspomina z rozrzewnieniem kombatantka.

Po zakończeniu działań wojennych mimo propozycji nie chciała pozostać w armii. Przyjechała do Koszalina, gdzie z Łucka transportem repatriacyjnym dotarła tutaj jej najbliższa rodzina. W pierwszych latach powojennych Eugenia Sobczak występowała na scenie teatru miejskiego przy Związku Walki Młodych jako aktorka i wokalistka. Później założyła rodzinę. Wychowała dwóch synów i córkę. Przez wiele lat nie chciała opowiadać o wołyńskich traumatycznych przeżyciach nawet najbliższej rodzinie. Czy według niej zbrodnie ukraińskich nacjonalistów są do wybaczenia?

- Nie da się. Choć tyle lat upłynęło, to się nie da. To była potworna zbrodnia z premedytacją na niewinnych dzieciach, starcach czy kobietach, tylko dlatego, że byli Polakami. Najbardziej przykre jest to, że sprawcy tych mordów nigdy nie zostali ukarani, a władze Ukrainy nie powiedziały nigdy słowa „Przepraszam” - odpowiada. ©

NIE ZAPOMNĘ, JAK ŚPIEWALIŚMY Z RODZINĄ KOLĘDY. NAGLE PRZYSZEDŁ SĄSIAD SZKLARZ I ZAWOŁAŁ, ŻEBYŚMY UCIEKALI, BO UKRAIŃCY NADCHODZĄ

Taką właśnie sytuację i jej konsekwencje opisał portugalski pisarz Jose Saramago na kartach wydanej w 2004 roku powieści „Miasto białych kart”. Nieposłuszni obywatele, wprawdzie nie Polski, lecz stolicy fikcyjnego państwa, są konsekwentni. Przy kolejnych wyborach znowu wrzucają do urn białe karty. Paradoksalnie jednak, te nieważne, puste kartki bez krzyżyków, mają o wiele większe znaczenie niż karty do głosowania z krzyżkami postawionymi przy nazwiskach wybranych, obdarzonych zaufaniem, kandydatów. Białe karty są głosem, który władza zdecydowanie powinna wziąć pod uwagę.

Tyle że władza, jak to władza, reaguje standardowo. Wprowadza represje, stan wyjątkowy, tropi „sprawców buntu”. Jest ślepa na istotę sprawy i jej rzeczywiste podłoże oraz własną rolę w tym zamieszaniu.

* * *

Zanim jeszcze przeczytałem polski przekład tej książki (która w oryginale nosiła tytuł „Ensaio sobre a lucidez”, czyli „Esej o przejrzystości”, może mniej symboliczny, za to bardziej oddający istotę rzeczy), miałem podobne przemyślenia i w gruncie rzeczy podobny pomysł. Marzyła mi się sytuacja, w której do urn wyborczych idzie jak najwięcej uprawnionych, a z tej grupy większość oddaje głosy nieważne. Bo nasza klasa polityczna od dawna zasługuje na taki gest obywatelskiego sprzeciwu. Bez wyjątku i bez względu na to, kto z jakiego ugrupowania, z jakiej frakcji się wywodzi. Dlaczego? Niech każdy sam poszuka odpowiedzi na to pytanie. Jest ukryta tuż pod fasadą...

Tak czy inaczej, uznawałem, że masowy udział w wyborach i równie masowe oddawanie głosów nieważnych stanowiłoby jasny dowód na to, że jako społeczeństwo szanujemy zasady demokracji i na wybory chodzimy, a równocześnie, jako to samo społeczeństwo, uznajemy reprezentantów tzw. klasy politycznej za niegodnych naszego zaufania i tego, byśmy powieriali im swoje losy oraz losy kraju.

Wybory w Polsce w każdym przypadku są ważne (jeśli nie są sfałszowane). Bez względu na frekwencję czy ogrom głosów „pustych”. Takie głosy mogą być co najwyżej asumptem do składania protestów wyborczych, ale w przypadku, gdyby wyborcy wiedzieli, po co i dlaczego oddają białe karty (lub na wszelki wypadek zakreślone w sposób nieważniący głos), kto mógłby protestować? Co najwyżej „unieważnieni” przez społeczny sprzeciw kandydaci.

Oczywiście, w rzeczywistości taka sytuacja nie jest moż-



Każdy głos się liczy, ale tylko jeśli jest „na tak”. Głosów „przeciw” oddawać nie można

OBOWIĄZEK BYCIA NA TAK, CZYLI PRZYWILEJ BARDZO DEMOKRATYCZNY

Wyobraźmy sobie, że są wybory i niemal wszyscy uprawnieni do głosowania oddają niezakreślone, białe kartki. W myśl polskiego prawa w urnach wyborczych lądują głosy nieważne. Jakie reakcje tzw. klasy politycznej wywołałby ten zbiorowy gest obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec władzy?

Dariusz Olejniczak

liwa. Przy każdych kolejnych wyborach głosy nieważne to ledwie 2-3 procent wszystkich oddanych głosów. Ci, którzy bojkotują kandydatów i nie widzą żadnych nazwisk i postaci, którym mogliby powierzyć swoje losy, w większości zasilają armię nieobecnych - tych, którzy na wybory w ogóle nie poszli. Tak jak ci, którzy nie poszli, bo nie mogli, nie chcieli im się albo uznali, że ukochani kandydaci poradzą sobie na tyle dobrze, że ich obecność w lokalu wyborczym jest zbędna.

Większość z reguły jednak karnie stawia się przy urnach i oddaje głosy ważne. Bo wyborcy wierzą, bo mają nadzieję, bo nie lubią tamtych, a woła tych, bo ojczyzna, bo sprawa, bo wolność i demokracja. A teraz jeszcze, gdy „wróg u bram”, gdy wróg wewnętrzny czyha (kimkolwiek jest i ktokolwiek obrał go sobie za wroga), sytuacja komplikuje się dodatkowo.

A może głosują, bo nikt im nie powiedział, że można inaczej? Bo zewsząd słyszą, że nie mają wyboru - muszą wybrać...

* * *

Z końcem czerwca do Senatu trafiła petycja, której inicjatorem jest Rafał Górski z Instytutu Spraw Obywatelskich. Dotyczy ona dodania na kartach do głosowania jeszcze jednej rubryki, poza rubrykami z nazwiskami kandydatów, mianowicie rubryki „żaden z powyższych”.

Pomysł nie jest nowatorski, choć w Polsce jego realizacja rzeczywiście stanowiłaby rewolucję. Rubryka „none of the above”, zwana skrótowo NOTA, pojawia się na kartach wyborczych m.in. w Belgii, Francji

w Indiach, w amerykańskim stanie Nevada, w Hiszpanii („ninguno de los anteriores”), w Norwegii, w Bułgarii. Podobne rozwiązanie do 2006 r. obowiązywało w Rosji, ale zostało „wycofane z użytku”. W Kazachstanie próbowano wycofać, ale pod naporem presji społecznej prawo do głosowania przeciw wszystkim zachowano. Najczęściej „pusty” głos wliczany jest do liczby oddanych ważnych głosów ogółem, ale nie wpływa na wynik wyborczy (wygrywa kandydat z największą liczbą głosów oddanych na niego), jednak traktowany jest jako głos sprzeciwu wobec wszystkich kandydatów.

Uważam, że idea Górskiego to jeden z lepszych planów na nowe otwarcie, przynajmniej na tym jednym niewielkim odcinku, polskiej sfery politycznej, czy może publicznej. Nie wróżę jednak Górskiemu powodzenia w przepychaniu petycji przez polski parlament. W końcu nie po to jest parlament, a w nim politycy, by ktoś mógł sobie stroić żarty z demokracji i powagi władzy. Co to, to nie!

W razie czego, można ludziom wyjaśnić, że nie jesteśmy jeszcze na tyle rozwiniętą demokracją, by na takie luksusy jak ukonstytuowany głos „pusty”, przeciw wszystkim, sobie pozwalać. Kazachstan, owszem, ale nie my.

* * *

Tak, jesteśmy na tyle niedojrzali, że o konieczności spełniania obywatelskiego obowiązku trzeba nam w kampanii wyborczej nieustannie przypominać. A za pilny, masowy udział w akcie elekcji nagradzać. Stąd zapewne na gdańskich autobusach, przy fontannie Neptuna i gdziekolwiek się da w przestrzeni publicznej lub wirtualnej, przy okazji rozmaitych wyborów pojawia się hasło „Nie śpij, bo cię przegłosują”.

Ten slogan jako element tzw. kampanii profrekwencyjnej ma nas pobudzić do działania, do wzięcia sprawy w swoje ręce, do tego, byśmy dali odpór siłom nieczystym. Bo frekwencja, mili Państwo, jest najważniejsza. To ona sprawi, że wszystko pójdzie jak należy. Cóż, znam parę osób, które uwierzyły w zbawczą moc frekwencji, poszły na wybory, a jednak ktoś je przegłosował, to znaczy wybrał inaczej i „wygrał”.

Kiedy w 1989 roku to hasło po raz pierwszy pojawiło się w obiegu podczas przełomowej kampanii wyborczej, miało sens. Walka toczyła się o wszystko, a każdy nasz głos był ważny. Dziś wiemy, że 36 lat później nasz głos też jest ważny. Co jakiś czas. Co cztery lata, albo co pięć. Ale między kampaniami to nie zawsze.

* * *

Bardziej przewrotnym twierdzeniem spod znaku „Nie śpij, bo cię przegłosują” jest dziś

przekonywanie, że skoro ktoś nie głosował, to nie ma prawa mieć pretensji do wybranych, że źle rządzą. To jedna z większych bzdur, jakie można usłyszeć przy okazji frekwencyjnych agitacji.

Gdyby ją przyjąć za prawdę, należałoby uznać, że osoby niegłosujące, albo oddające głos nieważny, w jakiś magiczny sposób pozbawione zostały praw publicznych, w tym prawa do wyrażania opinii i rozliczania władzy. A przecież w Polsce udział w głosowaniu nie jest obowiązkowy. W Australii jest obowiązkowy, w Belgii jest obowiązkowy, w Grecji, a nawet na Fidżi, w Brazylii i jeszcze w kilku innych krajach. Ale w Polsce każdy ma prawo nie głosować, natomiast obowiązkiem władzy, jako służby publicznej, jest działać na rzecz każdego, bez względu na jego poglądy polityczne albo antypolityczne i przyjmować krytykę.

* * *

Jeśliby ktoś chciał zarzucić mi, że napisałem powyższy tekst z zamiarem zniechęcenia społeczeństwa do głosowania w wyborach, to zaprzeczam.

Napisałem ów tekst, by zwrócić uwagę Czytelników na to, jak są rozgrywani i ogrywani przez tzw. klasę polityczną (i dać im argumenty na obronę). Niektórzy są tego świadomi, inni ledwie to przeczuwają, jeszcze inni nie przyjmują tego do wiadomości.

Tekst ten jest teoretycznym rozważaniem o znaczeniu aktu wyborczego, a także o narzędziach służących wyrażaniu własnych opinii, jakie polski ustroj demokratyczny daje wyborcom.

Moim zdaniem zasób tych narzędzi ogranicza się do możliwości opowiedzenia się „za”, nigdy „przeciw”, a już szansa, by wypowiedzieć się „przeciw wszystkim” nie ma wcale. Jednym zdaniem - zawsze musisz być „za”. Musisz być na tak. Jeśli nie chcesz być „za” kimś, możesz oszukać system głosując „za” przeciw komuś. Elektorska schizofrenia. Pragnąc być szczerym, możesz co najwyżej zostać w domu lub oddać głos, który uznany zostanie za nieważny, choć podobno każdy głos się liczy.

Skoro przybory jest tak zasobny, jak jest, zostajesz w domu. Zostając w domu, stajesz się wyrzutkiem lekceważącym dobrodziejstwa demokracji, któremu odbiera się prawo do wyrażania opinii i krytyki, ale już nie zdejmujesz się z niego przymusu poddawania się woli wybranych wbrew jego woli.

W związku z powyższym postuluję, by prawo sprzeciwu wobec wszystkich oraz prawo do milczenia uznać za równorzędne z prawem do bycia na tak. Ze wszystkimi tego konsekwencjami, z wpisaniem go na karty wyborcze włącznie. Jak demokracja, to demokracja!

REJSUNKI



RYS. ISKRA

KOMIKSOWE URODZINY

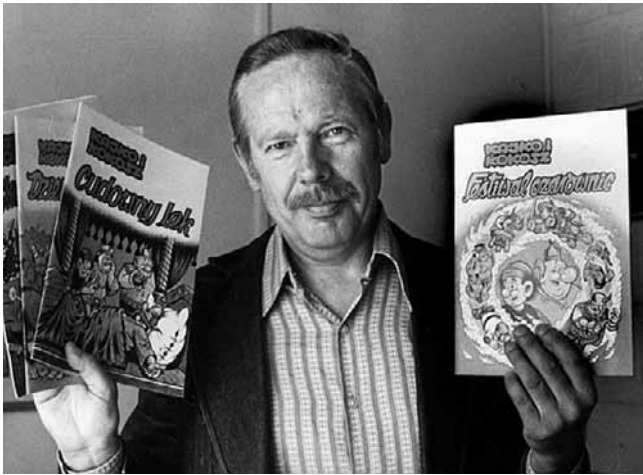
Fundacja Kreska im. Janusza Christy, zaprasza w najbliższą sobotę, 19 lipca, na wydarzenie zatytułowane „Kajko i Kokosz zapraszają na Urodziny Janusza Christy 2025!”

W czasie świętowania obchodów 91. urodzin mistrza polskiego komiksu, młodzi i starsi fani Janusza Christy, będą mogli wziąć udział w warsztatach komiksowych, spotkaniach, wystawie i konkursach z nagrodami. Na miejscu będzie też można poczuć klimat średnio-wiecznej osady, przejść się między straganami z rękodziełem, czy kupić stare i najnowsze wydania komiksów Janusza Christy. Wśród zabudowań będzie można spotkać i uścisnąć dłoń Kajka i Kokosza oraz zasiąść na tronie Hegemonia legendarnego wodza Zbójczy!

Uwaga! Po raz pierwszy, na specjalnej wystawie poświęconej twórczości Janusza Christy, zaprezentowane zostaną odnalezione w tym roku rysunki i plansze mistrza polskiego komiksu.

Miejszem wydarzenia będzie Faktoria Pruszcza Gdańskiego, przy ul. Zastawnej (wjazd od ul. Grunwaldzkiej).

Gościem specjalnym będzie Sławomir Kielbus, wnik komiksów i ilustrator, znany głównie z komiksu prasowego.



FOT. WOJCIECH LENDZION

Janusz Christa w 1985 roku

Urodziny orgasnizuje Fundacja Kreska im. Janusza Christy. Partnerzami wydartzenia są: Faktoria Handlowa w Prus-

czu Gdańskim, Centrum Kultury i Sportu w Pruszczu Gdańskim, Egmont Polska, Lumina Park Pruszcza Gdański. (AS)

JANUSZ CHRISTA

Był jednym z największych polskich twórców komiksu. Zmarł 15 listopada 2008 r. W ciągu 74 lat życia zdążył narysować 4700 komiksowych pasków, 700 plansz i olbrzymią ilość ilustracji. Wydał około 40 albumów komiksowych w łącznym nakładzie 10 milionów egzemplarzy. Stworzone przez niego serie komiksowe „Kajko i Kokosz” oraz „Kajtek i Koko” od pokoleń cieszą się mianem kultowych.

W PROGRAMIE

- Nowa wystawa „Kajko i Kokosz”
- Rozstrzygnięcie konkursu „KOMIKSOWY ŚWIAT KAJKA I KOKOSZA”
- Warsztaty komiksowe

- z rysownikami prowadzący Sławomir Kielbus oraz Wojciech Olszówka
- Konkursy z nagrodami dla dzieci
- Jarmark Rzemiosła i Komiksu oraz wiele innych atrakcji

REKLAMA 0011363776



PREZYDENT MIASTA TCZEWA

ogłasza konkurs na

DYREKTORA CENTRUM KULTURY I SZTUKI W TCZEWIE

Szczegółowe warunki, jakie kandydaci muszą spełnić oraz dokumenty, jakie należy złożyć w konkursie na ww. stanowisko, zostały zawarte w ogłoszeniu o konkursie. Treść ogłoszenia stanowi Załącznik do Zarządzenie Nr /2025 Prezydenta Miasta Tczewa z dnia lipca 2025 r. w sprawie ogłoszenia konkursu na wolne stanowisko – Dyrektora Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie. Zarządzenie wraz z ogłoszeniem jest dostępne m.in. na stronie Biuletynu Informacji Publicznej oraz stronie internetowej zarówno Urzędu Miejskiego, jak i Centrum.

Kandydaci swoje aplikacje mogą przysyłać na adres Urzędu Miejskiego w Tczewie, 83-110 Tczew, Plac Marszałka Piłsudskiego 1, w terminie do dnia 18.08.2025 r. Ofertę można również złożyć osobiście na wyżej podany adres.

AUTOPROMOCJA

Dziennik Bałtycki

Gotuj się na sobotę

dziennikbałtycki.pl

REKLAMA 0011364033



AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W GDYNI INFORMUJE, ŻE OGŁASZA USTNE PRZETARGI NIEOGRANICZONE NA NAJEM NIERUCHOMOŚCI

POZYCJA 1 – drugi ustny przetarg na najem lokalu użytkowego nr 481 o pow. 82,10 m², usytuowanego na poziomie piwnicy budynku mieszkalnego, położonego przy ul. Grunwaldzkiej 174 w Gdańsku. KW GD1G/00075853/3. Stawka wywoławcza: 820,00 zł netto Wadium: 2 460,00 zł

POZYCJA 2 – drugi ustny przetarg na najem lokalu użytkowego nr 483 o pow. 157,40 m², usytuowanego na poziomie piwnicy budynku mieszkalnego, położonego przy ul. Dobrej 1A w Gdańsku. KW GD1G/00094435/6. Stawka wywoławcza: 1 574,00 zł netto Wadium: 4 722,00 zł

POZYCJA 3 – kolejny ustny przetarg na najem lokalu użytkowego nr 570 o pow. 38,91 m², usytuowanego na poziomie piwnicy budynku mieszkalnego, położonego przy ul. Marty Aluchny Emelianow 4 w Słupsku. KW SL1S/00107639/7. Stawka wywoławcza: 600,00 zł netto Wadium: 1 800,00 zł

Przetargi odbędą się dnia 28.07.2025 r.:

Pozycja 1 - godz. 10⁰⁰ Pozycja 2 - godz. 11⁰⁰, Pozycja 3 - godz. 12⁰⁰ w siedzibie OReg AMW w Gdyni, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, sala konferencyjna (III piętro).

Warunkiem dopuszczenia do uczestnictwa w przetargu jest wpłacenie wadium w formie pieniężnej, w terminie do 24.07.2025 r. na rachunek bankowy OReg AMW w Gdyni w BGK 54 1130 1121 0006 5589 8520 0008.

Pełna treść ogłoszenia znajduje się na tablicy ogłoszeń OReg AMW w Gdyni (I piętro) i na stronie www.amw.com.pl. Szczegółowych informacji dotyczących przetargu udziela Dział ds. Nieruchomości OReg AMW w Gdyni przy ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, I piętro, pok. 130, tel. 58 690 87 74, e-mail: gdynia@amw.com.pl.

REKLAMA 0011364891



AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

Dyrektor Oddziału Regionalnego Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni

działając zgodnie z art. 35 ust. 1 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2024 r. 1145)

informuje, że

na tablicy ogłoszeń w siedzibie OReg AMW w Gdyni (tablica ogłoszeń na I piętrze), został wywieszony oraz opublikowany na stronie Agencji www.amw.com.pl, WYKAZ dotyczący nieruchomości przeznaczonych do oddania w najem w trybie ustnego przetargu nieograniczonego, obejmujący lokal użytkowy nr 257 o pow. 127,67 m², położony w Siemirówcach przy ul. Osiedle na Skarpie 3, opisany w księdze wieczystej SL1L/0004215/1. Lokal składa się z dwóch pomieszczeń na parterze o łącznej powierzchni 98,77 m² i piwnicy o pow. 28,90 m². Wykaz wywieszono na okres od dnia 11.07.2025 r. do dnia 1.08.2025 r.

Osobom, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu ww. nieruchomości - zgodnie z przepisami art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy o gosp. nieruchomościach (tekst jednolity Dz.U. z 2024.1145) termin o złożenia wniosku upływa z dniem 22.08.2025 r.

Informacje na temat nieruchomości można uzyskać w siedzibie OReg AMW w Gdyni przy ul. M. Curie-Skłodowskiej 19 (pok. 130) tel. 58 690 87 74.

REKLAMA 0011348137

SPRZEDAM budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399



PULS #172

35 lat temu nadleciał GROM Str. 20-21

Z czym kojarzy Ci się 13 lipca?

Ten dzień nierozzerwalnie kojarzy mi się z rocznicą powołania jednostki GROM, choć w samej jednostce święto obchodzi się 13 czerwca; wówczas jest ono celebrowane. W ogóle trzynastka to była szczęśliwa liczba generała Sławomira Petelickiego, twórcy GROM-u: urodził się 13 września i ta trzynastka towarzyszyła mu przez całe życie. Dla mnie osobiście lipiec jest też ważny, bo właśnie wtedy przyszedłem do jednostki GROM, po wcześniejszej służbie w 1. Pułku Specjalnym Komandosów w Lublińcu. Trafiłem od razu na tak zwaną komendę ochrony, czyli coś w rodzaju postępu dla żołnierza, który jest już dedykowany na kurs podstawowy. Ja na swój musiałem poczekać do września. Dla mnie więc 13 lipca to mocno symboliczna data, bo jest też momentem mojego wstąpienia do GROM-u. Po 13-miesięcznym kursie zostałem wybrany do zespołu bojowego, tego najstarszego, który wtedy był i rozpocząłem służbę jako operator tego zespołu. Spędziłem w jednostce GROM 12 lat: część tej służby jako operator, potem pracowałem w grupie low profile, czyli w wywiadzie osobowym, a ostatnie pięć lat byłem twórcą i dowódcą grupy przewodników psów bojowych.

Dlaczego chciałeś znaleźć się w GROM-ie?

GROM zawsze był elitarną, nawet trochę mityczną jednostką. Zanim trafiłem do GROM-u, byłem żołnierzem już od 11 lat, jeśli w to wliczę szkołę wojskową, do której poszedłem w 1994 roku. Znalezienie się w GROM-ie było przejściem do elity elit. Jednostka Komandosów w Lublińcu uchodziła za drugą najlepszą w Polsce; miałem już doświadczenie bojowe, byłem na misji w Iraku, za mną było już wiele zrealizowanych zadań. Byłem między innymi dowódcą grupy bojowej, odpowiedzialnym za ochronę dowódcy międzynarodowej dywizji, generała Andrzeja Tyszkiewicza. To wtedy razem z zespołem musieliśmy ratować generała, a ja osobiście wyciągnąłem go ze strefy śmierci. To był dla mnie chrzest bojowy. Ale to GROM był dla mnie tym miejscem, w którym chciałem być. Taki level up, w którym są najlepsi z najlepszych. Na misji w Iraku w 2003 roku spotkałem dwóch operatorów GROM-u, którzy przyjechali na chwilę, żeby być dla nas wsparciem szkoleniowym, wprowadzić nas w realia Iraku. Mieli już wtedy duże doświadczenie, więc przeprowadzili z nami tygodniowe szkolenie. Kiedy ich zobaczyłem, to, jak się zachowują, jaka jest ich mental-

Zdejmujesz mundur, odkładasz broń,
ale GROM zostaje w tobie. Najważniejsza jest spójność i życie
w prawdzie, bez masek, bez fejku. To jest droga wojownika
– mówi Krzysztof Puwalski, były operator GROM

Anita Czapryn



Krzysztof Puwalski: Dla mnie znalezienie się w GROM-ie było przejściem do elity elit

KRZYSZTOF PUWALSKI: GROM BYŁ ELITARNĄ, NAWET TROCHĘ MITYCZNĄ JEDNOSTKĄ

ność, jak są uzbrojeni, wówczas ja i mój zespół pomyśleliśmy: chcemy iść do tej jednostki. W 2004 roku przeszedłem selekcję do GROM-u.

Czym różni się żołnierz, który przechodzi selekcję, od tego, który potem trafia do zespołu bojowego GROM-u?

Między jednym a drugim jest przepaść. Ten, który idzie na selekcję, jest po prostu kandydatem na żołnierza GROM; zdeterminowanym, ale dopiero poznającym swoje ograniczenia. Dopiero po kursie podstawowym i kolejnych etapach szkolenia, kiedy wchodzi się do zespołu bojowego, staje się wojownikiem. Ale to też oznacza ciągły rozwój, ciągłą pracę. W GROM-ie panuje olbrzymia presja. Każdy dzień to tak naprawdę konfrontacja samego siebie z tym, co się dzieje. Każde szkolenie, każdy trening jest organizowany na tak wysokim poziomie, że jeśli popełnisz błąd, możesz bez mrugnienia okiem zginąć na szkoleniu. Strzela się amunicją bojową w pomieszczeniach, wysadza się materiały wybuchowe. Trzeba być cały czas na sto procent. Tego człowiek się uczy w GROM-ie. Chłopak, który przechodzi selekcję, nie ma w ogóle pojęcia, co go czeka. Selekcja sprawdza kandydata fizycznie i psychicznie, ale wszystko dopiero zaczyna się po selekcji. Wtedy te marzenia, które się wydają takie wielkie, stają się rzeczywistością. A ta rzeczywistość jest brutalna, wymagająca bezwarunkowego zaufania do każdego operatora, który jest obok ciebie, i do siebie samego, do swoich możliwości. I wymaga ciągłego rozwoju.

A zatem, do tego, żeby spełniać swoje marzenia, potrzeba odwagi? Tak to czułeś?

Absolutnie tak. Bo na co dzień spotykam się z ludźmi, którzy mówią: „Zrobiłbym to czy tamto, przeszedłbym do innej pracy, podjąłbym inne zadania, aplikowałbym na inne stanowisko, też miałem iść do GROM-u... ale zachorowałem, żona miała jakąś ważną sprawę, nie mogłem...”. W rzeczywistości trzeba mieć olbrzymią odwagę i determinację, żeby realizować swoje plany. Uważam, że prawdziwe jest powiedzenie, że „człowiek ma tyle, na ile się odważy”. Bardzo ze mną rezonuje to zdanie.

Kiedy już zostałeś przyjęty do GROM-u – co wiedziałeś o generale Petelickim?

Wiedziałem, że to generał Sławomir Petelicki stworzył tę jednostkę od podstaw. Miał wizję i odwagę, żeby zrobić coś, co wielu uważało za niemożliwe. Dziś mówi się o tym tak lekko. Patrzy się na żołnierzy GROM-u, świetnie wypo-

sażonych, doskonale wytre-nowanych, z międzynarodowymi relacjami. Ale trzeba pamiętać, że lata 90. to był zupełnie inny czas. Można powiedzieć, to był czas rozpadu Wojska Polskiego. Zwalniano żołnierzy, służba wojskowa była skracana, nie było pieniędzy na nic. Chyba to był najgorszy czas, jeśli chodzi o kondycję armii. I w tym czasie, w tej degrengoladzie i bezradzie, wyłania się człowiek, który ma wizję, marzenie i zupełnie inny sposób myślenia. Jako młody operator znalazłem biografię generała Petelickiego, bo z wykształcenia jestem historykiem i interesowałem się nie tylko nim, ale też cichociemnymi i historią samego GROM-u.

Pamiętasz swoje spotkanie z generałem Petelickim?

Spotkałem go tylko raz, przy wręczaniu ryngrafów, kiedy kończyliśmy kurs podstawowy. To była krótka uroczystość, ale generał w moim życiu zostawił po sobie ślad. To był człowiek o niezwykłej charyzmie. Kiedy wchodził, sala milkła, wszyscy czekali w napięciu, można powiedzieć, że nagle zaniemówili. Miał w sobie światło. No i oczywiście uścisk dłoni, to był jego znak rozpoznawczy. Nie do zapomnienia; tak mocny, że zostaje w pamięci.

Czego GROM nauczył cię o ludziach - i o samym GROM-ie?

Przed wszystkim GROM nauczył mnie pokory i cierpliwości. Wychował mnie do życia w prawdzie, takiej bez masek, bez pozorów. Przepraszam za te słowa, ale brzydzę się dziś byciem kimś w rodzaju instagramowego fejk, pokazywania w internecie czegoś, co jest dalekie od prawdy, kiedy rzeczywistość jest zupełnie inna. W GROM-ie od razu rozpoznawaliśmy takich ludzi. Potrafili tylko przytakiwać, ale niewiele umieli. Dlatego nauczyłem się, że najważniejsza jest spójność i życie w prawdzie.

GROM ma reputację jednostki nie do złamania. Ale przecież żołnierze doświadczają momentów, w których mogą poczuć, że coś w nich pęka. Też ich doświadczyles? Jak sobie z tym radziłeś?

Nie doświadczyłem nigdy momentu, w którym pękłem psychicznie. Raz w Stanach Zjednoczonych, podczas kursu w jednej z najlepszych jednostek specjalnych na świecie, dotkliwie pogryzł mnie pies. Wyłączyło mnie to z działania, bo obie ręce miałem rozszarpane: przedramię i dłoń. Pozszywali mnie w miejscowym szpitalu jednostki, dali leki, żebym szybko doszedł do siebie. Już czwartego dnia po tym zdarzeniu zaplanowane były bardzo wy-

magające ćwiczenia wodne. Mielśmy być zrzucani do wody razem z psami i potem podejmowani śmigłowcem, do którego musieliśmy się wspinać po drabinie speleo. Pamiętam, że poszedłem do lekarza, żeby zobaczył moje ręce, i on kategorycznie zabronił mi jechać na to ćwiczenie. Ale ja zdecydowałem, że pojadę. Kiedy z wody chwyciłem drabinę speleo i próbowałem się po niej wspiąć do śmigłowca, zerwały mi się wszystkie szwy. Poczulem potworny ból, rany się otworzyły i po prostu spadłem do wody. Pamiętam wtedy tę niemoc i złość na siebie. Śmigłowiec odleciał, a ja zostałem w wodzie, niczym pływający splawik, dryfując z rękami spływającymi krwią. Zabrał mnie zespół, który płynął na łódce.

Ale chodziło o to, że się nie poddałeś?

Nie poddałem się. Mogłem wrócić do bazy, do pokoju, ale szef instruktorów, amerykański żołnierz, który prowadził to szkolenie, zabrał mnie na pokład śmigłowca. Cały dzień latałem z zabandażowanymi rękami. Asystowałem przy tych ćwiczeniach na tyle, na ile mogłem. To mi bardzo pomogło. Gdybym został na ziemi, gdyby mnie odwieziono do jednostki, przypuszczam, że zostałbym z poczuciem przegranej. A dzięki niemu, przez cały dzień mogłem przerobić to w sobie.

Czy dziś rola GROM-u się zmieniła? Czym ta jednostka jest dzisiaj? Do jakich zadań jest powołana?

Rdzeń się nie zmienił: GROM nadal realizuje operacje specjalne, wszystkie najtrudniejsze, w najtrudniejszych warunkach: operacje dalekiego rozpoznania, wsparcia militarnego, uwalniania zakładników (HR) i akcji bezpośrednich (DA) i wiele, wiele innych. Ale świat się zmienił, więc zmieniają się zagrożenia. Dziś duży nacisk kładzie się na cyberprzestrzeń, operacje informacyjne, współpracę między służbami. GROM nadal musi być skuteczny w boju, ale też szybki w analizie, elastyczny, przygotowany na nowe formy tak zwanej wojny hybrydowej. Nie tylko szturm, ale też głęboka, precyzyjna, wielowarstwowa operacja.

Wyszedłeś z GROM-u po 12 latach. Co się dzieje z żołnierzem, kiedy ta służba się kończy? Co jest najtrudniejsze w odejściu z jednostki?

Zdejmujesz mundur, odkładasz broń i to się kończy. Ale nie kończy się to, kim jesteś. Wychodzisz z jednostki GROM, ale GROM zostaje w tobie: w podejściu do życia, do problemów, do ludzi. We-

ług mnie najtrudniejsze są te pierwsze miesiące, kiedy nagle jest tak zwana całkowita cisza operacyjna. Wchodzisz w codzienność i się z nią zde-rzasz. Dlatego uważam, że bardzo ważne jest, żeby znaleźć sobie nowy cel, nowy sens.

I ty sobie taki cel znalazłeś. Co dzisiaj robisz?

Prawda jest taka, że kiedy odszedłem z jednostki GROM, to nie miałem precyzyjnie sformułowanego planu, co będę robił. Moje życie w GROM-ie było bardzo intensywne i to do samego końca. Na dwa dni przed zakończeniem służby prowadziłem jeszcze bardzo wymagający kurs dla operatorów z jednostki Komandosów, których zaprosiliśmy do GROM-u. Prowadziłem z nimi kurs K9; pokazywałem, jak funkcjonuje grupa K9, jak można wykorzystywać psy bojowe. To był pełnowymiarowy kurs: ze śmigłowcami, walką w budynkach, z tak zwanym kill housem i planowaniem operacji. Kiedy komandosi skończyli trening i wyjechali, miałem dwa dni na rozliczenie się. To było bardzo mało czasu, więc wszystko działo się w pędzie. Potem była jeszcze ceremonia pożegnania, impreza. Dopiero kiedy znalazłem się w cywilu, dotarło do mnie, że nie przygotowałem sobie planu na to, co będę robił. Byłem wykształcony - skończyłem sporo szkół, a jeszcze będąc w GROM-ie, zrobiłem studia podyplomowe menedżerskie na SGH. To było świetne pod kątem pracy już w cywilu, bo otworzyło mi dużą przestrzeń do zrozumienia, jak funkcjonuje biznes. Trochę się na tym oparłem, że mogę połączyć doświadczenia zawodowe z jednostki GROM i całego mojego życia z tym, co mogę robić w cywilu. Na początku to była typowo szkoleniowa robota: strzelanie, taktyka; głównie to.

Gdybyś spojrzął na swoją historię z lotu ptaka - co dziś jest w niej dla ciebie najważniejsze?

Dzisiaj na co dzień zajmuję się szkoleniem. Jestem mentorem, akredytowanym i dyplomowanym coachem, trenerem. Zawodowo pomagam zarówno ludziom, jak i organizacjom, czy to w procesie transformacji organizacji, czy w indywidualnej transformacji człowieka. Bardzo dużo ludzi, z którymi pracuję, przychodzi do mnie w różnych momentach swojego życia: jedni zmieniają pracę, drudzy dopiero chcą wejść na rynek, bo pracuję i z dwudziestolatkami, i z ludźmi doświadczonymi, w moim wieku, często na bardzo wysokich stanowiskach, którzy przechodzą kry-

zys tożsamości. Jestem performance coachem, więc pracujemy nad wzrastaniem. Zdarza się też, że pracuję z całymi rodzinami: mam podopiecznych, z którymi pracuję krzyżowo: z ojcem, matką i synem. Piszę też książki. Ale najważniejsze w tym wszystkim jest to, że wcale nie trzeba być idealnym. Żeby przejść drogę wojownika - trzeba być prawdziwym. Moja historia to nie tylko sukcesy.

Macie poczucie, że bycie w GROM-ie to jak bycie w rodzinie? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego? Więzy są ważne i pielęgnowane?

Spotykamy się, pielęgnujemy te znajomości. Przyjaźnię się z kilkoma byłymi operatorami, wspieramy się zawodowo, pomagamy sobie nawzajem. Na przykład współpracujemy przy różnych projektach szkoleniowych. Można powiedzieć, że jesteśmy blisko siebie. Po odejściu z jednostki nie wszyscy operatorzy ze sobą współpracują i to też jest naturalne. Bliskie relacje są z tymi, z którymi było się blisko, miało się wspólne doświadczenia bojowe, z takimi, którym powierzało się sobie nawzajem swoje życie. To bardzo łączy. Spotykamy się na świętach, na różnych imprezach. Two-rzymy sprawdzone grupy, na przykład ci, którzy byli w jednym zespole, albo przecięli się na kursach czy misjach. To są takie małe ojczyzny, które bardzo łączą.

Ożeniłeś się z córką twórcy GROM-u. Co to dla ciebie znaczy?

Traktuję to jako największą nagrodę. Włożyłem w GROM dużo pracy, wysiłku, ale to nie medale czy wyróżnienia są dla mnie najważniejsze, tylko właśnie Dominika i to, że do mnie przyszła. Dominika jest moją żoną, partnerką, przyjaciółką. Jest moją inspiracją, zawodowo i prywatnie. Przy niej mogę być sobą - i to jest dla mnie najważniejsze. Nie mam łatwego charakteru, ale przy niej nie muszę niczego udawać. To jest największa wartość.

W czym Twoja żona przypomina ojca - generała Petelickiego?

Na tyle, na ile znałem generała i znam Dominikę, mogę powiedzieć, że odziedziczyła po ojcu mnóstwo cech. Ma niesamowitą umiejętność przewodzenia ludziom; taki naturalny leadership, przywództwo, którego nie da się nauczyć. A ja zawodowo zajmuję się przywództwem, więc mam porównanie. Zresztą kiedy współpracujemy, widzę, że ma to coś, czego nie da się wyćwiczyć na żadnej akademii. Odziedziczyła to po swoim ojcu.

JAK POWSTAŁA JW GROM

GROM to jednostka jak z amerykańskich filmów: wysportowani faceci, najlepszy sprzęt, aura tajemniczości wokół przeprowadzonych operacji. – Oprócz tego wizerunkowego lepu GROM to ogromna siła, której nikt nie powstrzyma ani nie zniszczy, i politycy doskonale o tym wiedzą. To nasze dobro narodowe, w które Amerykanie włożyli ponad 100 mln dolarów i serce – mówił mi swego czasu gen. Sławomir Petelicki, twórca i pierwszy dowódca GROM. Gen. Petelicki nie żyje od 2012 r. JW GROM to historia polskiego wojska i wolnej Polski. Sławomir Petelicki, oficer wywiadu, generał brygady Wojska Polskiego, od lat marzył o stworzeniu w Polsce jednostki specjalnej. Widział, jak tworzy się jednostka specjalna Delta i wtedy zrodził mu się w głowie pomysł stworzenia czegoś podobnego w Polsce. Przyszedł z tym pomysłem do gen. Gromosława Czempirskiego, z którym znał się jeszcze z pracy w wywiadzie. Czempirski był tym, który obmyślił i dowodził operacją Samum, polegającą na wyprowadzeniu żołnierzy instytucji wywiadowczych USA z Iraku w 1990 roku. „Sławek powiedział: „Gromek, po tym, co zrobiłeś, nie wyobrażam sobie, żeby Amerykanie nie spełnili każdego twego życzenia. Nie pomógłbyś mi? Pojechalibyśmy do nich i porozmawiali, żeby stworzyć u nas jednostkę na wzór Delta Force”. Powiedziałem: „Sławku, nie ma sprawy”, bo bardzo mi się ten jego pomysł podobał. (...) Wsiadliśmy ze Sławkiem w samolot, wcześniej zdobywając zgodę ministra i poleciliśmy do Stanów. Usadowili nas, o ile dobrze pamiętam, chyba w hotelu Hyatt. Duży pokój, wygody. Chwilę później przyszło dwóch generałów. Słuchali mnie, słuchali. Potem o swoim planie opowiedział Sławek. Słuchali i nic nie mówili. Sławek się zdenerwował. „Kurna, chyba nic z tego nie będzie” – stwierdził, tylko dosadnie. Pocieszałem go, że pewnie jeszcze pomyślą i zdecydują się jednak pomóc. Byliśmy umówieni na drugi dzień na godz. 9.00. Przyszło dziewięciu ludzi. Krótki uścisk dłoni i zaczęli opowiadać, jak taka jednostka powinna wyglądać, jak ją tworzyć, jak szkolić – wszystko w detalach. Byliśmy w szoku. Zwłaszcza Sławek, bo wiedział, ile chce, a oni dawali wszystko. Na koniec powiedzieli jeszcze: „O nic się nie musicie martwić” – wspominał gen. Czempirski w książce „Ostatni samuraj. Rozmowy o gen. Sławomirze Petelickim”. Amerykanie powiedzieli, że dadzą pieniądze, broń, sprzęt, instruktorów. Od nich oczekiwali tylko dobrych ludzi i miejsca, w którym mogliby ćwiczyć. Wojciech Brochwicz, poznał gen. Petelickiego w poczekalni do ministra Krzysztofa Kozłowskiego. Był wtedy doradcą ministra Kozłowskiego, drugim był Bartłomiej Sienkiewicz. I to on opowiedział Brochwiczowi, kim jest Sławomir Petelicki i po co przychodzi. Co mu konkretnie powiedział? „Że jest to oficer wywiadu, który ma świetny pomysł. Że trzeba tym pomysłem zainteresować ministra. Spotkałem się z nim w takim gabinecie, w którym czekali goście. Rozmawialiśmy trochę na ten temat. Sławek miał pełną aktówkę, a w niej spisane różne projekty, przygotowane, dokładnie rozpisane. Z tym poszliśmy do ministra. Wydawało mi się, że Sławka pomysł ma głęboki sens. Odczuwałem już wtedy potrzebę istnienia takiej jednostki – wspominał Brochwicz w „Ostatnim samuraju”. Decyzja o utworzeniu GROM-u zapadła. Petelicki zaczął jeździć po Polsce i szukać chętnych: jeździł po jednostkach, odwiedzał komendy policji, rozglądał się w Biurze Ochrony Rządu. „Na początku wziąłem najlepszych z policyjnego oddziału antyterrorystycznego, no i ludzi z wywiadu i BOR o niezwykłych umiejętnościach” – opowiadał gen. Petelicki. Żołnierze GROM z czasem zaczęli mieć opinię najlepszych z najlepszych, a przynajmniej najbardziej docenianych przez Amerykanów. Na pierwszą misję pojechali na Haiti. O inwazji mówiło się od maja 1994 roku. Prezydent USA Bill Clinton zagroził wówczas haitańskiej juncie, że Amerykanie obalą ją siłą, jeśli nie zrzeknie się władzy. Forsowana przez Stany Zjednoczone opcja militarna uzyskała błogosławieństwo Rady Bezpieczeństwa ONZ, we wrześniu zaczęła się inwazja. Amerykanie nie chcieli, aby światowa opinia publiczna przyjęła ją jako próbę zdobycia przez Amerykanów kolejnej kolonii, więc zaprosili do współpracy także inne siły specjalne. Zajmowali się głównie ochroną ważnych osób, które przyjeżdżały na Haiti. Potem były coraz nowsze wyzwania: GROM brał kilkakrotnie udział w misjach na Bałkanach, w Zatoce Perskiej, Iraku i Afganistanie. I chociaż o operacjach GROM mówi się niewiele, niektóre informacje przeciekały do mediów. Żołnierze GROM mieli na przykład zatrzymać siedmiu zbrodniarzy wojennych w byłej Jugosławii, w sumie przeprowadzili kilkaset operacji z sukcesem. **Dorota Kowalska**

Kiedy pierwszy raz usłyszałaś, że twój tata tworzy jednostkę GROM?

Nie słyszałam wtedy samego słowa „GROM”, ale pamiętam, jak często padały inne, takie jak: „Lecimy śmigłowcem do Lublińca”. Nie wiedziałam wtedy, że trwała rekrutacja do GROM i część żołnierzy rekrutowana była właśnie z Lublińca. Czułam w głosie taty ogromne podekscytowanie, radość tworzenia. Spotykałam też ludzi, którzy w tamtym czasie z tatą współpracowali, jeszcze zanim GROM powstał oficjalnie. To się już działo. Dobrze pamiętam moment, w którym tata się znalazł, trochę jak na rozstaju dróg. To były czasy wielkich przemian w Polsce, a on przecież należał do pokolenia PRL-u i jego przyszłość mogła się potoczyć różnie. Byłam wtedy nastolatką, miałam 12, może 13 lat. Były chwile, kiedy tata był podłamany, bo coś się nie udawało, a potem przyszła ta jego ogromna ekscytacja. W naszym przedpokoju wisiał starodawny telefon, bo mama kochała antyki i pamiętam, jak głośno dzwonił. Tata rozmawiał przez niego godzinami. Ustalał, kiedy będzie tym śmigłowcem leciał do Lublińca i jak to wszystko poukładać. Ten telefon w przedpokoju to był taki jego mały punkt dowodzenia. I tam przeżywał te momenty twórczej radości.

Dziś słyszę, że czasy i możliwości są takie, że możemy robić, co chcemy. Twój tata był w tym pionierem i to w czasach, które wcale temu nie sprzyjały.

Mój tata kochał czytać książki i uwielbiał oglądać filmy. Zawsze miał kilka książek zaczętych równocześnie. To był jego sposób na rozładowanie napięcia, ale też jego świat. Myślę sobie, że to może z tych książek, z tych filmów rodziła się ta jego wizja. Tylko że on nie został w sferze równocześnie. On to po prostu postanowił zrealizować. Udało mu się trafić na odpowiednich ludzi, którzy mu zaufali i dali wolną rękę, bo bez tego nie stworzyłby czegoś tak bardzo odbiegającego od tego, co wtedy było normą. Moim zdaniem tata był pionierem w Polsce nie tylko w budowaniu jednostki specjalnej, ale też w storytellingu. Potrafił pięknie opowiadać historię, tworzyć legendę, współpracować z mediami i wyciskać maksimum z tego, co miał, nawet w tak trudnych czasach.

Tata zabrał cię kiedyś na selekcję, która odbywała się w Bieszczadach. Co wtedy zobaczyłaś? To był 1992 rok, miałam wtedy 15 lat i tata zaprosił mnie, żeby pojechać z nim na selekcję. Już wtedy wiedziałam, że to jest coś wyjątkowego. Całą drogę rozmawialiśmy; jechaliśmy ze świętej pamięci pułkownikiem Drewniakiem, „Diabłem”. Tata miał wtedy służbowego Gofa

BYŁ OJCEM. BYŁ LEGENDĄ. STWORZYŁ GROM

Wiedziałam, że GROM to coś ultratajnego; czasem korciło mnie, żeby komuś w szkole powiedzieć. Ale nikt by nie uwierzył – mówi

Dominika Petelicka-Puwalska, córka generała Sławomira Petelickiego i żona byłego operatora GROM

Anita Czapryn



Zdjęcie z archiwum rodzinnego Dominiki Petelickiej-Puwalskiej. Na zdjęciu jako nastolatka ze swoim tatą

i jechaliśmy tym Golfem w Bieszczady, do miejscowości Bystre. Byłam podekscytowana. Wiedziałam, że spotkam ludzi, którzy potrafią robić nadludzkie rzeczy. To miał być finał selekcji, ostatni nocny maraton. Słyszałam po drodze historie o tym, jak wcześniej jeden z kandydatów przebiegł trasę z psem i to pies nie dał rady, więc trzeba było donieść go na rękach na metę. Wiedziałam, że mogę się spodziewać wszystkiego. Dobrze pamiętam tamten świt. Był wrzesień, kiedy wstaliś, było jeszcze ciemno. Szliśmy z tatą szutrową drogą do miejsca, gdzie mieli dobiec do mety żołnierze. Tata trzymał mnie za rękę... Do dzisiaj mam w uszach ten dźwięk szutru. Doszliśmy do autokaru, tata miał swoje zajęcia, a ja usiadłam w kąci. Czekałam i obserwowałam, jacy niewykli ludzie dobiegają na metę. I nagle do autokaru dziarskim krokiem wszedł jeden z żołnierzy. Byłam pewna, że będą ledwo żywi, a on spojrzał na mnie i zawołał: „Cześć, aniołku!”. Potem dobiegali kolejni. Z tym żołnie-

rzem, który wtedy powiedział do mnie „aniołku”, mam kontakt do dziś. Już po śmierci taty spotkaliśmy się na jednej z uroczystości i ta historia wróciła. Do dziś się widzimy, rozmawiamy. Mam też kontakt z innymi, którzy wtedy skończyli selekcję. Pamiętają mnie z tamtego autokaru. To dla mnie bezcenne.

Miałaś wtedy świadomość, że GROM to coś wyjątkowego?

Czułam i wiedziałam, że to jest ultratajne. Że nikt o tym nie może się dowiedzieć. Byłam też na ćwiczeniach na lotnisku, widziałam, jak wyglądają treningi odbijania zakładników, obserwowałam żołnierzy w akcji. Bywałam na ulicy Podchorążych, bo tam była pierwsza siedziba GROM-u, a że mieszkałam niedaleko, to często zaglądałam do taty, choćby na chwilę. Później słyszałam historie, że ktoś pamięta, jak biegałam tam po schodach. Byłam obecna w tym pierwszym okresie, więc wiedziałam, że to coś bardzo tajnego. Czasem korciło mnie, żeby się pochwalić w szkole, powiedzieć, że mój

tata robi coś takiego. Ale pewnie wtedy zostałabym potraktowana jak ktoś, kto wymyśla niestworzone historie. Dopiero w 1994 roku, kiedy byłam w liceum, pojawiły się pierwsze publikacje, przy okazji wylotu GROM-u na Haiti, wtedy wszystko się ujawniło. Pamiętam, że tata miał swoje fanki wśród moich koleżanek z klasy. A w 1995 roku, po powrocie z Haiti, zdarzyła mi się zabawna historia. Raz spróbowałam ściągnąć na klasówce. Z zasady nigdy tego nie robiłam i nawet nie potrafiłam. Od razu więc zostałam zdemaskowana. Tata został wezwany do szkoły. Przyszedł i pamiętam, jakie wrażenie zrobił na nauczycielach i uczniach. Wszyscy byli zachwyceni, dzięki czemu sprawa mojego ściągania poszła w niepamięć. Tata miał też i taką rolę – awaryjną. Jak coś się działo, zawsze był.

Jak się czułaś, wiedząc, że musisz dzielić ojca z legendą, którą rośla wokół niego?

Przed wszystkim musiałam dzielić tatę z jego pasjami, z jego marzeniami. Spędzałam z nim

czas, oczywiście, ale potem mieszkaliśmy już osobno, więc widywaliśmy się rzadziej. Robiliśmy razem różne rzeczy, na przykład chodziliśmy do kina. Do dziś pamiętam, jak chodziliśmy do kina Stolica, dzisiejszego Iluzjonu. Tata lubił mi opowiadać, co mnie trochę peszyło, że jak był nastolatkiem, to tam, w ostatnich rzędach całował się z dziewczynami. Spędzaliśmy czas na spacerach, dużo rozmawialiśmy w ruchu, bo dla taty spacer był momentem na załatwianie ważnych spraw. Ale wiadomo, nie miałam go tyle, co może inne dzieci, bo mój tata dużo wyjeżdżał, dużo czasu spędzał w jednostce. Więc tak naprawdę od zawsze dzieliłam go z tym, o czym marzył. Tata od dziecka spełniał swoje marzenia. Chciał być w wywiadzie, chciał podróżować, działać, przeżywać rzeczy niezwykłe i to robił. Żył intensywnie, spełniając swoje marzenia, ale też pomagając innym ludziom. Był taką osobą, do której zawsze można było przyjść. Przychodziłam do niego po pomoc nie tylko ja, bo też mnóstwo innych ludzi. Nie bez powodu w GROM-ie mówiono o nim „Ojciec”. Dzieliłam tatę z całą jego jednostką. Oni byli jego dziećmi tak samo jak ja.

Czego cię nauczył? Jakie lekcje nosisz w sobie do dziś?

Przed wszystkim nauczył mnie mówić prawdę, nawet jeśli jest trudna, niewygodna. Nauczył mówić ją prosto w oczy. U niego różnie się to kończyło. Myślę, że ja potrafię to robić trochę inaczej niż on. Mam w sobie więcej delikatności, potrafię powiedzieć prawdę tak, żeby była wartościowa i dla drugiej osoby. Nauczył mnie też uporczywości; po nim jestem uparta. Kiedy mi na czymś zależy, potrafię przekonać innych do swoich racji i znajduję w sobie wtedy duże pokłady siły.

Na ile, twoim zdaniem, dzisiejsza jednostka GROM wciąż jest taka, jaką wymyślił twój tata? Szkolenia, selekcja, rekrutacja to dalej ten sam trzon?

Tak właśnie jest. Tata stworzył standardy, które potem przeszły na jednostki specjalne w całej Polsce. I dzisiaj, dzięki temu, że wprowadził takie zasady jak selekcja, kurs podstawowy, kursy specjalistyczne, to wszystkie jednostki, które są teraz w Dowództwie Wojsk Specjalnych, przechodzą przez dokładnie takie procedury. Żołnierze mówią, że generał Petelicki zmienił oblicze Wojska Polskiego. Że wyrwał je z takiego przeciętniactwa i że Wojsko Polskie, dzięki tej jednej małej jednostce, zyskało zupełnie nową energię. Bo przecież GROM to nie jest wielki komponent ludzi. To jest mała grupa, która rozlała tę dobrą energię na całą resztę, najpierw na wojska specjalne, a potem dalej.

Spotykasz weteranów GROM-u, którzy mówią: „Pamiętam twój tatę...”?

Tak, mam sporo takich historii. Po śmierci taty byłam zapraszana na różne uroczystości, zaprzyjaźniłam się z wieloma żołnierzami i zwykle słyszałam od nich: „Pamiętam, jak twój tata wyrzucał mnie z pracy... potem przyjmował z powrotem”, albo: „Pamiętam, jak na mnie spojrzał... jak poruszył nosem – wtedy wiadomo było, że trzeba uważać”. Ale to nie tylko takie anegdoty. Mieliśmy w moim mężem Krzysztofem taką sytuację, kiedy organizował konferencję K9 dla wojsk specjalnych z całego świata. Gościem honorowym był żołnierz SEAL, weteran James Hatch – ten, który dowodził operacją odbicia zakładników uwięzionych przez somalijskich piratów, znaną z filmu „Kapitan Phil” z Tomem Hanksem. Siedzieliśmy przy lunchu, James spojrzał na mnie i mówi: „Pamiętam, jak kiedyś przyjechał do nas wasz dowódca. Starszy facet, ale jaki miał uścisk dłoni! A jak strzelał... celny strzał jak nikt”. Krzysztof wtedy odpowiedział: „To był tata Dominiki”. James zawołał: „Nie-możliwe!”. Pomyślałam wtedy, że jeśli ktoś z jednej z najlepszych jednostek na świecie pamięta człowieka, który przyjechał z Polski, pamięta jego uścisk dłoni i to, jak dobrze strzelał, to znaczy, że tata naprawdę zostawił po sobie legendę. Ale to nie są jedne opowieści. Spotykam w swoim życiu wielu ludzi, i każdy z nich ma swoją historię związaną z tatą. I każda jest ważna. Kiedy miałam 19 lat, spacerowałam po Konstancji z wózkami, bo opiekowałam się dzieckiem sąsiadów. Spotkałam pana na wózku, z wrodzoną łamliwością kości. Zaczęliśmy rozmawiać, zapytałam skąd jest, powiedział, że mieszka w Warszawie przy Parkowej. Zawołałam: „Ojej, mój tata też tam mieszkał, całe młode lata”. I nagle on otworzył szeroko oczy: „Boże! To on mnie bronił przed wszystkimi zbirami na naszej ulicy. Jak mnie popychali, wyśmiewali, to zawsze stawał w mojej obronie”. Ale słyszałam też inne historie. Że tata był hersztem całej bandy na dzielnicy, że miał w piwnicy tron i tam przyjmował interesantów. Od najmłodszych lat był po prostu kimś niezwykłym.

W czym najbardziej jesteś podobna do swojego taty?

Na pewno odziedziczyłam po nim to jego groźne spojrzenie; czasami ludzie mówią: „O nie, nie patrz tak na mnie...”. Po nim mam też upór, ale i wrażliwość. Tata był bardzo wrażliwy na ludzką krzywdę. Myślę, że to połączenie siły i wrażliwości, też mam po nim.

NAJPOPULARNIEJSZE ZWIERZĘ W POLSCE TO „MAŁPKA”

Dr Włodzimierz Mielech z białostockiego szpitala dziecięcego mówi wprost: Co trzeci dzień mamy na oddziale nieletniego zatrutego alkoholem

Agnieszka Domanowska

Zacniemy od statystyk czy od konkretnych przypadków?

Od brutalnej prawdy. Moja rekordzistka miała 4,97 promila. Siedemnastolatka, chuda jak patyk, 50 kilogramów wagi... Gdyby nie straciła przytomności w miejscu publicznym, co zwróciło uwagę przechodniów, pewnie by zamarzła, bo zdarzenie miało miejsce w sylwestra. Przywieźli ją z Lipska, 80 kilometrów, przez pół województwa, bo decyzją Zespołu Ratownictwa Medycznego dziecięcy szpital to najlepsze miejsce, żeby wytrzeźwiała.

Jak często się to zdarza?

Statystycznie? Co trzeci dzień mamy na SOR-ze osobę pod wpływem środków psychoaktywnych. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Do nas trafiają ci, którzy są w takim stanie, że ktoś ich znajduje na ulicy albo w parku. Albo ci, których zachowanie wzbudzi niepokój najbliższych. Ci, którzy dojdą do domu o własnych siłach i prześpią się, w ogóle nie wchodzą w statystyki. W 2013 roku zarejestrowano łącznie we wszystkich SOR-ach w Polsce 16 tys. interwencji związanych z alkoholem, w 2023 – ponad 26 tysięcy. Dane dotyczą łącznie dorosłych i dzieci.

Co się dzieje z polskimi dziećmi?

Zmienia się wszystko. Kiedyś do nas przywozili głównie chłopaków. Teraz częściej dziewczyny „pijane do nieprzytomności”. W rekordowym 2023 roku: 48 dziewcząt, 28 chłopaków. One upijają się szybciej, padają w miejscach publicznych. Czy piją więcej? Tego nikt nie wie, bo nie da się prowadzić obiektywnych statystyk na temat nieletnich. Można opierać się tylko na prowadzonych badaniach ankietowych. Poza tym obniża się wiek pierwszego epizodu upojenia alkoholowego. Średnia wieku naszych pa-

cjentów pod wpływem alkoholu to 16 lat, najmłodszy mieli po 12 lat.

Skąd w ogóle biorą ten alkohol?

(śmiej) Mechanizmów jest kilka. Klasyka: „Proszę pana, kupi pan dla nas piwo?”. Pod każdym sklepem znajdzie się ochotnik, który zrobi to za kilka złotych albo za puszkę piwa. W małych sklepikach osiedlowych, gdzie ledwo widać koniec z końcem, każda sprzedana butelka to różnica między opłaceniem pracownika a niedopłaceniem. Sprawdzanie wieku? To dodatkowa robota.

A co z dowodem, peselem?

To dopiero ciekawostka! Pojawiały się aplikacje udające mObywatela, gdzie można sobie „zrobić” dowód z dowolną datą urodzenia. Na kasie młody człowiek odpala sobie taki fejk, macha telefonem przed sprzedawcą: „Proszę bardzo, mój dowód”. Kto będzie sprawdzał?

Jak wygląda polska mapa alkoholowa?

Przygotuje się pani na szok. Na jeden punkt sprzedaży alkoholu w Polsce przypadają 303 osoby. Na jedną aptekę - 3000. W Zakopanem jeden punkt sprzedaży (łącznie sklepy i knajpy) z alkoholem to 35 mieszkańców! Codziennie w Polsce sprzedaje się 3 miliony małpek - i tu dochodzimy do mojego ulubionego cytatu z sympozjum: „Jakie jest najpopularniejsze zwierzę w Polsce? Małpka”. Ponad miliard rocznie! Większość między szóstą a jedenastą rano.

Rano?!

Tak. Jak tylko sklepiki otwierają, już stoją w kolejce. Wiadac to szczególnie wiosną - jak śnieg zejdzie, to wzdłuż chodników leży ścieżka z butelek. To jest przerażające, ale taki jest obraz naszego społeczeństwa.

A dzieci? Kiedy najczęściej trafiają do pana?

Mamy swój kalendarz imprez. Pierwszy pik w karnawale - jasne, zaczynają się imprezy. Drugi tuż po Wielkanocy - znowu imprezy. Potem cisza podczas wakacji, bo piją pod namiotami, w plenerze, nie w domach. Wracają do szkoły - koniec września, początek października - kolejny wzrost. Trzeba „odregulować” początek roku szkolnego.

Czy można oszacować, jakie są koszty leczenia niepełnoletniego pacjenta, który trafia na SOR pod wpływem alkoholu, lub innych środków odurzających?

Dzięki uprzejmości pracowników Działu Kosztów UDSK próbowaliśmy to oszacować. Według danych z 2023 r. jeden taki pacjent to minimum 3000 złotych za pobyt. Ale to nie tylko pieniądze - to przede wszystkim zaangażowanie dużych sił i środków. Trzeba go rozebrać, umyć, bo zazwyczaj leży w swoich wymiocinach. Często jest wychłodzony. Pobieramy krew i mocz na liczne badania, w tym całą toksykologię, bo nigdy nie wiadomo, czy to tylko alkohol. Czasem dodatkowe konsultacje specjalistyczne, badania obrazowe: tomografia, usg, prześwietlenia, bo nie można wykluczyć urazów. Angażuje to wiele osób personelu całego szpitala, podczas gdy w kolejce czekają dzieci z wysoką gorączką czy złamaną ręką. Rodzice mają pretensje: „Czemu zajmujecie się pijanym, a nie moim dzieckiem?”.

Który przypadek najbardziej pana poruszył?

Chłopiec, 17 lat, 4,8 promila. Pytam: „Ile wypił?” „Pół litra”. „A od kiedy pijesz?” „Od tygodnia, bo tata wyszedł z więzienia i codziennie pijemy razem po pół litra na głowę”. Gdy poziom alkoholu zaczął spadać, to poja-



Dr Włodzimierz Mielech: Moja rekordzistka miała 4,97 promila. Siedemnastolatka, chuda jak patyk, 50 kilogramów wagi...

wyły się objawy abstynencyjne. W tym wieku objawy abstynencyjne to rzadkość, ale się zdarzają. Jak wytrzeźwiał do dwóch promili, to przypomniał sobie, że nie odrobił pracy domowej...

Co z rodzicami? Są świadomi problemu?

Część kompletnie nie albo go bagatelizuje. A u części działa mechanizm wyparcia problemu. Dotyczy to zarówno alkoholu, jak i substancji psychoaktywnych. Rozmawiałem z matką 15-latki, która zatrula się lekami psychotropowymi. Pytam: „Czy córka miała dostęp do leków?” „Tak, ona sama sobie je dawkuje”. „Proszę pani, pani córka ma zaburzenia psychiczne, jej ocena jest nieadekwatna. Te leki powinny być pod kluczem. Można się zabić paracetamolem kupionym w sklepie spożywczym, a tu dziecko ma swobodny dostęp do leków psychotropowych”. Siedzi, patrzy, nawet nie jest zdziwiona.

Czy system można naprawić?

Kiedy 15 lat temu zaczynałem pracę w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym UDSK, obowiązywała prosta regulacja prawna: jeśli jedynym powodem interwencji medycznej był alkohol, koszty leczenia pokrywali rodzice pacjenta. Opłata wynosiła wtedy około 1000 złotych - mniej więcej połowę przeciętnej pensji. Efekt? Żaden z tych pacjentów nie trafił do nas ponownie. Rodziny, niezależnie od sytuacji materialnej, reagowały stanowczo: ci biedniejsi wydawali ostatnie pieniądze, ci bogatsi robili wszystko, by dziecko już więcej nie piło - bo wstyd. Skutek wychowawczy był stuprocentowy. Niestety, jak to często bywa, system postanowił być „mądrzejszy” i ten przepis zlikwidowano.

Dlaczego?

(gorzki śmiech) Bo na SOR-ach dla dorosłych przywożą

po kilku, kilkunastu pijanych dziennie. Znaczna część bezrobotnych, bez stałego adresu i stałego dochodu. Kto ma ich szukać? Kto ma wystawiać rachunki? W jaki sposób mieliby oni zapłacić? Koszty administracyjne przewyższyłyby wpływy. U nas, w dziecięcym szpitalu, to było 50-60 przypadków rocznie. Tam jest tyle tygodniowo.

A skala dochodów państwa z alkoholu?

Oto prawdziwy biznes. W 2023 roku za 10 miesięcy wpływy z akcyzy: 11,1 miliarda złotych. To bez listopada i grudnia, kiedy kupuje się „na święta”. W cenie wódki za 28 złotych jest 16 złotych akcyzy i 5 złotych VAT-u. Łącznie 76 procent to podatki. Praca jest opodatkowana...

Moment... więcej niż od pracy?

Tak! Przeciętne wynagrodzenie w czwartym kwartale to 40 procent podatków i innych składek - ZUS, PIT, składka zdrowotna. Gdyby Polacy przestali pić, mielibyśmy 15-miliardową dziurę budżetową.

Czyli profilaktyka się nie opłaca?

Wszystkim opłaca się pozorować walkę z alkoholem, ale go nie eliminować. To jedyny zalegalizowany narkotyk w Polsce - bo w podręczniku farmakologii alkohol jest w dziale substancji narkotycznych - który przynosi ogromne zyski.

Co z narkotykami wśród dzieci?

Tu jest jeszcze gorzej, bo ciemna liczba jest ogromna. W 2023 roku mieliśmy 40 przypadków, w 2024 - już 91. Dwukrotny wzrost! Najpopularniejsze? Co jest najtańsze i najłatwiej dostępne: dopalacze, marihuana, syntetyczna marihuana, amfetamina.

Jak dzieci je zdobywają?

(westchnienie) „Przypadkowo znajdują”, na przykład pod sklepem, na chodniku leżały woreczki z solami albo ziołami - tak się tłumaczyło kilku moich pacjentów. Teraz nawet nie tłumaczą. Poza tym wielu nie traktuje marihuany jako środka psychoaktywnego. Presja środowiska i łatwość zdobycia: za pierwszym razem - gratis, próbka. Za trzecim - promocja. Za piątym - już płacisz. A w internecie w ciągu pięciu minut można znaleźć co się chce.

A organy ścigania?

Szukają głównie hurtowni, producentów, żeby odciąć od źródła. Im się nie opłaca łapać „detalistów”. Co z tego, że złapią gościa z pięcioma działkami? Dostanie dwa tygodnie aresztu albo prac społecznych. A w czasie pandemii system się „udoskonalili” - diler nie ma kontaktu z klientem. Wszystko przez telefon, komunikatory internetowe - narkotyki zostawia w umówionym miejscu.

Jakie są perspektywy?

Paradoksalnie, spożycie alkoholu zaczyna spadać. Ludzie, szczególnie młodzi, sięgają coraz częściej po piwa bezalkoholowe. Ministerstwo Finansów pewnie jest zmartwione - spadają wpływy. Ale młodzi przerzucają się też na narkotyki.

Czy da się to powstrzymać?

Problem trzeba rozwiązywać u podstaw między innymi przez edukację oraz ograniczenie dostępności i promowania alkoholu. Ale czy to się uda przy obecnym modelu finansowania państwa przez akcyzę i ogromnych pieniędzy, które zarabiają producenci alkoholu? Wątpię. My jesteśmy na końcu łańcucha. Ratujemy życie, gdy wszystko inne już zawiodło. I co trzeci dzień mamy kogoś zatrutego. To nie jest normalne, ale stało się naszą codziennością.

Dziki Zachód wcale nie wyglądał westernowo. Raczej siermięźnie, wręcz biednie. Osadnicy tyrali na polach, a kowboje zaganiali bydło. Mieszkano w szopach, pito pokątnie, a kobiety w saloonach były zjawiskiem równie rzadkim jak rewolwerowcy trafiający z zasłoniętymi oczami w srebrnego dolara.

Incydent w Tombstone

Przestępczość Dzikiego Zachodu była raczej skutkiem systemowego klasizmu i uzależnień niż krwiożerczości mieszkańców. Zdarzały się oczywiście zabójstwa w afekcie lub zaplanowane morderstwa, lecz nie aż na tak wielką skalę jak w westernowych fabułach. W uważanym za największą mieścinę Dzikiego Zachodu, czyli Dodge City, zastrzelono w 1878 r. tylko pięć osób, a przez następne dziesięć lat kolejne dziesięć. Z reguły po zbyt dużej ilości kiepskiej whiskey. Z kolei w Tombstone w Arizonie, które wstąpiło się 1881 r. największą strzelaniną rewolwerowców w historii, zginęło pięciu mężczyzn.

W Tombstone poszło raczej o urażoną męską dumę, paradowanie z bronią i zakłócanie ludziom spokoju po pijaku. Liczba uczestników strzelaniny była raczej marna, a pojedynki odbyły się w mało spektakularnych okolicznościach - w konnej zagrodzie. Panowie mierzyli do siebie z odległości dwóch metrów, oddano blisko 30 chaotycznych strzałów w ciągu zaledwie 30 sekund. Nikt w nikogo nie celował, cztery ofiary zmarły z ran.

Oto Pat Garrett

Słynny szeryf rodem z Alabamy miał w 1881 r. 31 lat. Miał się wcześniej różnych fachów - pracował na kolei, był barmanem, tragarzem, kowbojem, łowcą bizonów i agentem celnym. W 1879 r. osiedlił się na Terytorium Nowego Meksyku, gdzie otworzył własny saloon i dwukrotnie ożenił się. W początkach 1880 r. został mianowany szeryfem hrabstwa Lincoln, a kilka miesięcy później - w Fort Sumner, w Nowym Meksyku - przydarzyła mu się sprawa z Kidem.

Ponoć Garretta nikt nie lubił - był ponurakiem i melancholikiem, kumał się z podejrzany elementem, miał ciagoty lumpenproletariackie. Na nielicznych zachowanych fotografiach, z reguły z późniejszego okresu jego żywota, patrzy na nas wąsaty jegomość z przyłizanymi włosami. Odziany jak urzędnik, czasem z cygarem, które dodaje mu powagi.

Billy zwany „Dziaciakiem”

William Henry McCarty, czyli nasz Billy, z fachu rewol-

JAK PAT GARRETT ZASTRZELIŁ BILLY’EGO KIDA I CO Z TEGO WYNIKŁO

W westernowej opowieści o Garreecie i Kidzie nie ma nic romantycznego. 14 lipca 1881 r. jeden bezpartdonowo zastrzelił drugiego. Legenda narodziła się później

Mariusz Grabowski

werowiec, jeden z - jak z przekonaniem piszą spece od westernów - „najsłynniejszych przestępców Dzikiego Zachodu”, miał w chwili opisywanych wydarzeń z 1881 r. niespełna 22 lata. Był prymitywny, prawdopodobnie słabo składał litery, zapewne też pojęcie dobra i zła było mu obce.

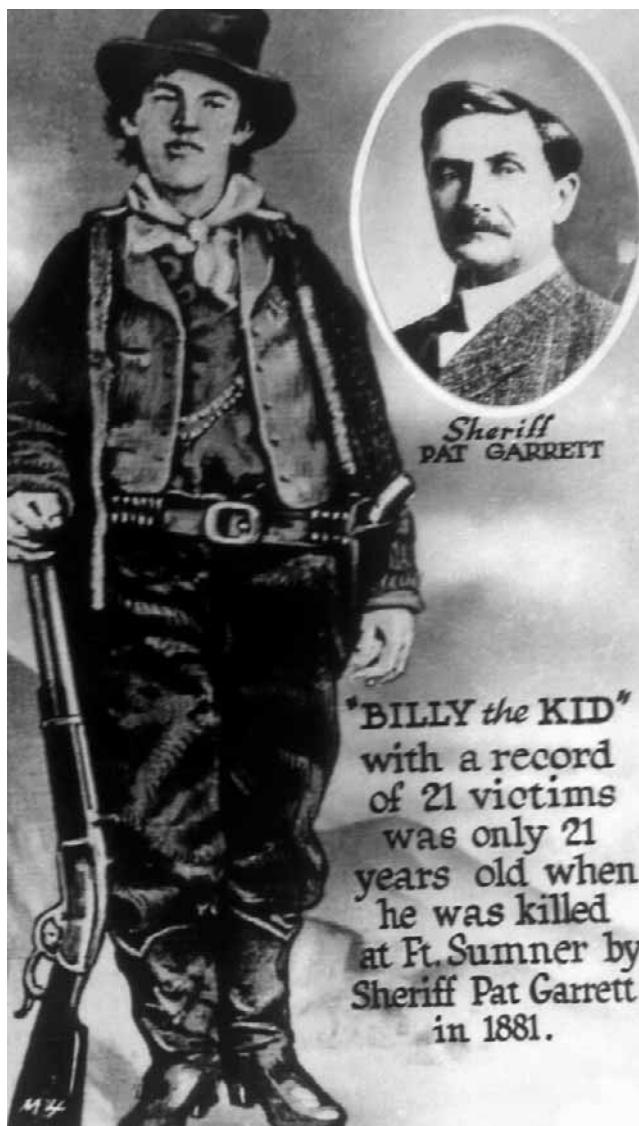
Oskarżany był o zabójstwo kilkudziesięciu osób, co było raczej kwestią wyolbrzymionej fany, niż realnych czynów. Co więcej, większość jego ofiar stanowili Indianie i Meksykanie, co w świetle etycznych przekonań bliźnich Kida nie stanowiło zbytniego problemu. Na rycinach z epoki ukazywano go zwykle z dwiema prawymi rękami - symbolem doskonałego rewolwerowca.

Faktem jest, że w 1878 r. Kid był świadkiem zamordowania w Lincoln Johna Tunstalla, a dwa lata później osobiście zastrzelił Joego Granta w knajpie w Fort Sumner.

Czy oni się znali?

Michael Wallis, autor tomu „Billy the Kid: The Endless Ride” dowodzi, że po tym wydarzeniu Kid skompletował bandę podobnych mu wyrzutków i zaczął robić to, co umiał najlepiej - kraść ranczerom konie i bydło. Ale okradli też m.in. rezerwat Indian Mesca-lero, którym rząd amerykański dostarczał pomoc: leki i żywność.

Banda Kida została dość szybko zlikwidowana, a on sam aresztowany. Oskarżono go i skazano na śmierć przez powieszenie. Termin egzekucji wyznaczono na 13 maja 1881 r. w Lincoln. Ale nie doszło do niej, ponieważ Kid brawurowo uciekł z więzienia, zabijając przy tym strażnika. W tym momencie pojawił się Patt Garrett, który natychmiast zorganizował za nim pościg. Ślady doprowadziły go do Fort Sumner. Dlaczego tam? Bo mieszkał tam ich wspólny znajomy - Pete Maxwell.



Billy Kid oskarżany był o zabójstwo kilkudziesięciu osób, co było raczej kwestią wyolbrzymionej fany

Litry atramentu wylano przez dziesięciolecia na udowodnienie tezy, że Kid i Garrett znali się na długo przed wydarzeniami w 1881 r. A nawet wspólnie terroryzowali osadników. Co dowodzi, że bycie stróżem prawa - w przypadku Garretta - nie musiało automatycznie oznaczać krystalicznej uczciwości.

W plecach i inne teorie

Samo zastrzelenie Kida odbyło się prozaicznie. Garrett podszedł doń w knajpie i strzelił mu w głowę, co przypomina

raczej egzekucję, bowiem Kid nie miał przy sobie rewolweru. W innych wersjach dostał strzał w plecy, gdy stał przy barze. Panowie nie zamienili ze sobą ani słowa. Ale istnieje też wersja, wedle której Garrett zaczął się na „Dziaciaka” w jego pokoju i strzelił do niego spod łóżka, gdy ten położył się spać. W każdej z tych opowieści Garrett wychodzi bardziej na kata niż policjanta.

Pogrzeb Billy’ego Kida odbył się na cmentarzu wojskowym w Fort Sumner 15 lipca 1881 r. Czyli następnego dnia

po zabójstwie. Nie było śledztwa, sędziego nie był zainteresowany szczegółami, a wszyscy mieszkańcy odetchnęli z ulgą wrócili do codziennego znoju.

Szybko pojawiły się też teorie, że Garrett zastrzelił nie Kida, lecz jakiegoś innego, Bogu winnego człowieka. Pewien mężczyzna o imieniu „Brushy Bill” Roberts jeszcze na początku XX w. twierdził, że to on jest legendarnym Billy’em Kidem. Biedaka, rzecz jasna nikt nie chciał słuchać.

Życiorys legendy

Co działo się później z Patem Garretem? Szeryfował, spisał, a właściwie podyktował autobiografię, w której chwalił się brawurowymi czynami, hodował bydło. Trafił nawet do polityki - startował do senatu stanowego Nowego Meksyku, ale przegrał.

Wyjechał do Teksasu, gdzie pomagał założyć policyjny oddział Texas Rangers dla ochrony pogranicza nowo powstałego stanu Teksas przed atakami Indian. Dwie dekady później rangersi wykazali się niebywałym okrucieństwem podczas wojny amerykańsko-meksykańskiej (1846-1848). Od tego czasu zaczęto ich nazywać przydomkiem „Los Diablos Tejanos”, co w tłumaczeniu z hiszpańskiego oznacza „Tekszańskie Diabły”.

Sława pozwoliła Garrettowi ponownie zostać szeryfem, a w 1901 r. agentem celnym w El Paso. Nie został jednak wybrany na kolejną kadencję, a to ze względu na obracanie się w podejrzany towarzystwie. Z czasem uzależnił się od hazardu i alkoholu i stracił resztki wcześniejszej popularności. Zginął w 1908 r., zastrzelony w sąsiedzkim sporze, którego szczegóły do dziś budzą wątpliwości.

Uciecha z westernu

Autentyczne i fikcyjne wydarzenia z życia Pata Garretta były później wielokrotnie ukazywane w książkach, serialach telewizyjnych i filmach fabu-

larnych. Pod koniec lat 30. w Las Cruces, gdzie został pochowany, jego syn postawił mu pomnik. Garrett siedzi na nim na koniu niczym heros.

Na początku XX w. Dzikie Zachód był już na tyle zmitologizowany, że Garrett i jego dokonania trafiły do mitologii. Jej istotą stał się wyidealizowany obraz amerykańskiego pogranicza, gdzie przemoc i bezprawie idą w parze z wolnością i niezależnością. W literaturze, później zaś w kinie pojawił się nowy gatunek - western. Pierwsze westerny były przeważnie tanimi powieściami rozrywkowymi przeznaczonymi dla masowego czytelnika i rzadko odznaczały się większymi walorami literackimi. Tematem były przygody traperów, banitów, rewolwerowców, kowbojów, stróżów prawa, którzy zamieszkiwali te niespokojne regiony.

W 1903 r. powstał pierwszy fabularny western w historii amerykańskiej kinematografii - „Napać na ekspres w reż. Edwiana S. Portera, z pierwszą gwiazdą gatunku - Broncho Billy Andersonem. Z kolei pierwszym westernem dźwiękowym był film „W starej Arizonie”, nakręcony w 1928 r. przez Raoulę Walsha i Irvinga Cummingsa. Opowiada barwną historię bandyty o imieniu Cisco Kid, który prowadzi grę w kotka i myszkę z szeryfem, jednocześnie romansując z lokalną saloonową ślicznotką.

Peckinpah bez złudzeń

W tryby popkultury dostała się też historia Garretta i Kida. Głównie za sprawą westernu (choć ściślej było by określić antywesternu) Sama Peckinpaha z 1973 r. Oto Billy Kid, eksrewolwerowiec, wiedząc, że jego dni są policzone, powraca do Fortu Sumner, który terroryzował w młodości jako człowiek wyjęty spod prawa. Przybywa do miasta razem z Patem Garretem. Garrett, znajdujący się teraz w szponach chciwych baronów bydła, jest szeryfem i pomimo swojej ówczesnej przyjaźni musi spełnić swój obowiązek i zabić Billy’ego.

W filmie zagrały gwiazdy kina, m.in. James Coburn i Kris Kristofferson, a autorem ścieżki dźwiękowej był Bob Dylan, który zresztą pojawia się na ekranie w roli Aliasa - członka bandy Kida. Budżet wyniósł blisko pięć mln dolarów, a film, choć dziś zaliczany jest do klasyki, nie spodobał się od razu. Przede wszystkim dlatego, że nie pasował do utrwalonej wcześniej legendy - Peckinpah opowiedział autentyczną historię, odzierając ją z romantycznej otoczki, a jego bohaterami kierują nie uczciwość i powinność, lecz najbardziej prymitywne ludzkie odruchy.

Niebawem miną 24 lata, odkąd Shrek i osioł zawojowali także kina nad Wisłą, a już wkrótce mają donich powrócić. Ale znacznie od początku.

Mało kto wie, że ekranizacja wydanej w 1990 roku książki dla dzieci „Shrek!”, autorstwa Williama Steiga, zainteresowany był sam Steven Spielberg, który chciał zrobić tradycyjny film animowany, z Billem Murrayem jako Shrekiem i Stevem Martinem w roli osła.

Reżyser nabył prawa do historii, jednak przekonano go, by przeniósł projekt do nowo powstałej wytwórni DreamWorks. Dwójka dzieci jednego z producentów Johna H. Williamsa, która uwielbiała literacki oryginał, kibicowała swojemu tacie przy pracy i go ponaglała.

Perykles i aligatory

Prace na filmem rozpoczęły się jeszcze w 1994 roku. Pierwotnie „Shrek” miał być dużo mroczniejszy, a jego wygląd zdecydowanie odbiegał od tego, który wszyscy znamy – w sieci do dziś można znaleźć wczesne projekty koncepcyjne postaci. Komputerowe animacje były gotowe w 2000 roku, a tworzący je graficy chcieli, by efekt końcowy był jak najbardziej zbliżony do świata realnego. To właśnie z tego powodu niektórzy z nich... brali prysznic zmieszany z błotem by sprawdzić, jak owa mieszanka będzie przemieszczać się po ciele. Z kolei szef artystyczny wytwórni Douglas Rogers swojego profesjonalizmu omal nie przypłacił życiem – przybył na plantację magnolii, by znaleźć tam miejsce, które posłużyłoby jako wzór dla bagna Shreka. I prawie został zagryziony przez aligatora.

Osiół zaś był wzorowany na prawdziwym osiołku Peryklesie, mieszkańcu pastwiska Barron Park Donkey Project w Palo Alto w Kalifornii, który odszedł niestety na początku tego roku.

Ogr ze szkockim akcentem

Dubbingową rolę tytułowego bohatera chciano powierzyć Nicolasowi Cage’owi. Ten jednak odmówił twierdząc, że obawia się reakcji swoich dzieci. Gdy znowo zaczął go jako ogra. Dziś ponoć niezmiennie żałuje swojej decyzji.

„Shrek” przemówił więc głosem Chrisa Farleya, który nagrał większość swoich kwestii. Były one jednak częścią scenariusza różniącego się od tego ostatecznego – w pierwszej wersji Shrek był nastoletnim ogrem, któremu nie w smak jest rodzinny biznes i który marzy o byciu rycerzem. Natomiast Fiona została zamknięta w wieży, bo urodziła się jako ogryzka. Ucieka jednak ze swojego więzienia i dostaje od czarownicy eliksir, który pozwala jej być za dnia człowiekiem, zaś w nocy ogrem.



Prace na filmem rozpoczęły się jeszcze w 1994 roku. Pierwotnie „Shrek” miał być dużo mroczniejszy, a jego wygląd zdecydowanie odbiegał od tego, który wszyscy znamy

„SHREK”. GDY ANIMACJA STAJE SIĘ SZTUKĄ

Czy można zrobić film, który chętnie oglądaliby zarówno dorośli, jak i ich pociechy? Jak najbardziej – najlepszym tego przykładem jest „Shrek”, choć początkowo nic nie zapowiadało, że opowieść o zielonym ogrze stanie się jedną z najpopularniejszych animacji wszech czasów

Wojciech Obremski

Niestety, w 1997 roku Farley zmarł, a na jego miejsce zaangażowano Mike’a Myers’a. Co ciekawe, na początku aktor nie wiedział, kogo zastępuje, bo filmowcy mieli obawy, że Myers nie przejmie roli po Farleyu. Kiedy w 1999 roku Myers zakończył podkładanie głosu, a produkcja „Shreka” była już w zaawansowanym stadium, aktor... poprosił o ponowne nagranie wszystkich swoich kwestii, tym razem ze szkockim akcentem, czyli takim, jakiego używała jego matka, opowiadając mu bajki na dobranoc. Plotki, jakoby miało to kosztować studio fortunę, rozwiął sam Myers.

Oznaczało to, że zamiast iść na dziesięć sesji, poszedłem na dwadzieścia. A płacili mi tyle samo – tłumaczył i podkreślił, że zabieg ten spodobał się wszystkim. – Dostałem list od Spielberga, w którym bardzo mi dziękował za troskę o tę po-

stać. Według niego szkocki akcent poprawił jakość filmu – chwalił się Myers.

„Francuski anioł” robi za wzór

W królową Fionę wcieliła się Cameron Diaz, choć początkowo miała to być Janeane Garofalo, której, z niewyjaśnionych powodów, podziękowano.

Nigdy nie powiedziano mi, dlaczego tak się stało. Być może dlatego, że czasami brzmie jak mężczyzna? – zastanawiała się aktorka. A skoro przy Fionie jesteśmy, to warto dodać, że sceny, w której królewna beka przy Shreku i osle, nie było w scenariuszu. Po prostu pewnego razu, podczas nagrywania któregoś z dialogów, opitej colą Cameron Diaz odbiło się. Ekipie tak się to spodobało, że postanowiła ów dźwięk wykorzystać w pamiętnym fragmencie.

Choć producenci niezmiennie zaprzeczają, wygląd Shreka nie jest dziełem przypadku. Widać wyraźnie, że animatorzy wzorowali się na prawdziwej postaci. Był nią niejaki Maurice Tillet, Francuz pochodzenia rosyjskiego i słynny zapaśnik w latach trzydziestych i czterdziestych, noszący przydomek „Francuski anioł”.

„Shrek”, który sam w sobie jest bajką, nawiązuje do wielu innych opowieści tego rodzaju, zwłaszcza wyprodukowanych przez Disneya. I tak, scena, w której Fiona śpiewa ptaszkowi, to ukłon w stronę „Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków”. Są też nawiązania do „Dumbo” (latający osioł) czy „Pięknej i bestii” (relacje Shreka z Fioną). Widzimy także parodię „Matrixa”, „Babe – świnki z klasą”, a nawet teleturnieju „Randka w ciemno”. Zaś sam lord Farquaad przypomina ówczesnego prezesa Disneya Mi-

chaela Eisnera, który był skonfliktowany z jednym z producentów „Shreka” Jeffreyem Katzenbergiem. Z kolei królestwo Farquaada Duloc do złudzenia przypomina Disneyland. Nie bez przyczyny – twórcy „Shreka” rzeczywiście inspirowali się tym miejscem. Kojarzona z filmem początkowa piosenka „All Star” grupy Smash Mouth stanowiła utwór zastępczy w pokazach testowych „Shreka”, ale spodobała się widzowi do tego stopnia, że została włączona do ostatecznej wersji.

Trochę z „Seksmisji”, trochę z Opola

„Shrek” miał swoją oficjalną premierę 18 maja 2001 roku, zaś na polskie ekrany trafił niespełna dwa miesiące później, 13 lipca. Widzowie z miejsca pokochali zielonego ogra, osła i Fionę tym bardziej, że w rodzinnej wersji zastosowano

świetny dubbing, autorstwa Bartosza Wierzbęty. Mike’a Myersa, Eddiego Murphy’ego i Cameron Diaz zastąpili kolejno: Zbigniew Zamachowski, Jerzy Stuhr i Agnieszka Kunikowska.

Furore zrobił zwłaszcza Stuhr, podkładający głos osłowi. – Mogłem wykorzystać specyficzne „stuhryzmy”. Stałem się tak konstruować zdania, żeby brzmiały tak, jakby pochodziły naprawdę od niego – wspominał Wierzbęta w rozmowie z portalem Dubbing.pl. I rzeczywiście, dorosły widz bez trudu wyłapie tutaj nawiązania do kwestii Stuhra z „Seksmisji” („Nie można tak od razu... tak do intymnego pożycia” lub „Dlaczego tu nie ma klamek?”) czy zaśpiewanej przez Stuhra w 1977 roku Opolu piosenki „Śpiewać każdy może” (w filmie: „Latać każdy może”).

„Shrek” skradł serca widzów i krytyków na całym świecie, gdzie zarobił 488 milionów dolarów i zdobył deszcz nagród, z których najcenniejsza to Oscar dla najlepszego filmu animowanego (stało się to w 2002 roku, kiedy po raz pierwszy przyznano statuetkę w tej kategorii). Osiem lat później zielony ogr dostał swoją gwiazdę na Hollywood Walk of Fame. Można śmiało stwierdzić, że „Shrek” uratował podupadające studio DreamWorks – bez niego nie powstałyby takie produkcje jak „Madagascar” czy „Kung Fu Panda”. Według ankiety przeprowadzonej przez telewizję BBC, „Shrek” to najchętniej oglądana przez dorosłych animacja.

Co przyniesie „Piątka”?

„Shrek” doczekał się trzech kontynuacji, scenicznego musicalu, gier, komiksów, a także świątecznej krótkometrażówki „Pada Shrek”. Dodajmy do tego dwa spin-offy, opowiadające o przygodach Kota w butach, jednego z bohaterów „Shreka”, który towarzyszy ogrowi od drugiej części. Zaś prace nad nią zaczęto jeszcze pod koniec tworzenia „Jedynki”. W tym samym filmie premierowo pojawia się też Wróżka Chrzestna, która pierwotnie miała zagrozić już w pierwszym epizodzie.

Na przyszły rok planowana jest piąta, kinowa odsłona cyklu. Od ostatniej części minęło piętnaście lat, co niewątpliwie znajduje odbicie w poziomie animacji – przez ten czas poczyniła ona spore postępy, jednak pokazana niedawno zapowiedź filmu nie napawa fanów zbyt optymizmem; zarzucają filmowcom odejście od graficznego sznytu, który sprawił, że Shrek i spółka stali się bohaterami przez duże „B”.

Miejmy jednak nadzieję, że powrót zielonego ogra nastąpi w wielkim, jak on sam, stylu.

Alicja Polewska

CZERWONE.
I PRAWOSKRĘT

Rozmowy. Polaków rozmowy. Ciepłe, by nie powiedzieć - upalne późne popołudnie. Trawa jakoś trzyma się zielona, kwiaty w doniczkach rozprostowują płatki po drugim już w ciągu dnia podlaaniu. Gdzieś jeszcze śpiewa drożd, który przysiadł na najwyższej w okolicach tujce. Zimny full. Sielanka.

- Od jutra kontrole na granicach. Szlag by trafił, za tydzień musimy przejechać most na Odrze - pada niby od niechcenia.

- E, tam. Dasz radę, no chyba że w bagażniku schowasz kogoś - ktoś rzuca czerstwy żart.

- Nie chodzi o to, ale żal tego Schengen. Nawet paszport sprawdziłem, czy nadal ważny.

- A znalazłeś? Bo ja się naszukałam. Od tak dawna nie był potrzebny, że spadł na dno szuflady.

- Fakt, ale z drugiej strony to może jednak dobrze, że ukróć ten proceder.

- Daj spokój, przecież to polowanie na czarownic!

- Tak?! A wiesz, co się dzieje w szkołach? Dzieciaki nie chcą mówić po polsku, tylko po swojemu. To jak się mają tutaj uczyć, jak integrować?

- Przynajmniej nasze poćwiczą angielski, ha, ha, ha.

- No rzeczywiście śmieszne. Daj spokój.

- Ty daj, bo zaraz uznam, że skrećasz.

- Coś ty! Nigdy w życiu, ale...

Ile takich rozmów toczy się między nami? Pewnie równie dużo, jak tych o paragonach grozy znad morza czy kolejnych kłapkach na Giewoncie. Bo tu nie ma mądrych. Jak zawsze: co Polak, to trzy poglądy, choć coraz częściej na pierwszy plan wysuwają się te najbardziej radykalne. Krzykliwe. Proste jak drzewce od biało-czerwonej, pod którą czy za którą kryją się ci panowie - wcale nie z Media Expert, ale Ruchu Obrony Granic.

Model żywcem z podręcznika do marketingu: wzbudzić potrzebę, by ją zaspokoić. Rozpoznać temat, analizować jawne i ukryte pragnienia, znaleźć podstawowego odbiorcę. I voila - mamy przepis na kampanię. Proste? Ano proste, tylko kiedy biorą się za to macherzy od słupków, to komplikują, dzielą włos na czworo i przegrywają. A tu wystarczy prosto jak w pysk strzelił: pokazać, nazwać i hajda na koń.

Prrr! Nie tak szybko.

Zapaliło się czerwone. Za chwilę mrugnie zielona strzałka do prawoskrętu. To ostatnia okazja zatrzymania się przed wykonaniem manewru.

Adam Bula

GROK BEZ KAGAŃCA,
CZYLI SKYNET, NA JAKI NAS STAĆ

Od razu uprzedzam, że ten tekst będzie łatwiejszy w odbiorze dla ludzi, którzy obejrzą serię filmów o Terminatorze. No ale jak ktoś nie widział żadnego filmu z Terminatorem, to nie bardzo wiem, o czym z nim gadać...

A było tak. W ostatni weekend Grok puścił się poręczy. Grok to chatbot dostępny dla użytkowników platformy X (dawnego Twittera). Miał wyjaśniać i pokazywać szerszy kontekst pojawiających się tam wpisów. Platforma X wciąż pozostaje forum dla ludzi zainteresowanych polityką, samych polityków i publicystów. Twardych zwolenników PO nazywa się tam, od jednej z grup (@silnirazem) silniczkami. Zwolenników prawicy się nie nazywa, bo rozum ich nie ogarnia i jest ich za dużo.

Na początku, dekadę temu, Twitter (TT) był dość elitarnym miejscem, gdzie rozmawiano w formie zmuszającej do lapidarności - bo wpis na TT mógł mieć maksymalnie 140 znaków. W miarę, jak poziom debaty w kraju nad Wisłą psuł się w ogóle, psuł się też TT, a potem stał się X, bo tak sobie wymyślił Elon Musk, który go kupił. Po czym - już dużo szybciej - zaczął zmieniać się w potworne bagno. Z algorytmami ustawionymi na promowanie prawicowych postów wywołujących strach i nienawiść.

Bo strach i nienawiść to silne emocje, które, wzbudzone, wywołują w nas potrzebę reakcji także fizycznej. Którą rozładujemy, siedząc na kanapie i klikając polubienie lub podanie dalej jakiegoś wpisu, lub jego skomentowanie, w stylu: „a twoja matka jest głupia K”. No i tak się toczy ta nasza „debata publiczna”.

Wracamy do weekendu, gdy Grok, po wprowadzeniu jego kolejnej aktualizacji, regularnie wariuje. I zaczyna wypływać z siebie, językiem pełnym najordynarniejszych przekleństw, analizy takie, jakie by mógł napisać w sztok pijany poseł Matecki po odkryciu, że Oskar Szafarowicz jednak nie jest gejem.

Gdyby do tej niesmacznej aluzji dodał z 10 ciężkich przekleństw, a potem ją jeszcze 2 razy bardziej uczynił niesmaczną, to i tak byłby daleko do tego, co wypisywać zaczął Grok. Bo to był nienawistny, wulgarny potok prawicowej szajby, któ-

rego nijak nie da się zacytować choćby we fragmencie.

Oczywiście prawa strona na X-ie wpadła w zachwyt. Szybko okazało się jednak, że Grok „jedzie” nie tylko po Tusku. W jednym z wątków - u Miłosza Lodowskiego - (to też jest oryginał. Powiedzmy - taki mały chatbot, który udaje, że żyje), Grok wziął i napisał o Kaczyńskim prawdę. To znaczy to, co on uważa za prawdę, czyli że Kaczyński jest największym (mocny epitet na literę S) w stadzie ciężkich, pisowskich (ten sam epitet na S).

Co tu się właściwie wydarzyło. Alicja Defrattyka, znawczyni socjali ceniona do czasu, gdy się okazało, że sowicie jej oceny wycenienia też PO w dawanych jej fuchach (ach, sorry, te ciągle dygresje) zapytała o to chataGPT. Oryginalnego. I ten odpowiedział, że Grok jest sformatowany pod Muskową, skrajnie prawicową wizję świata. Dlatego - ucząc się - wyłapuje i promuje przede wszystkim te wpisy, które pasują do szurskiej wizji świata. „Grok zachowuje się jak hejter, którego rolę nie jest pomagać ani myśleć logicznie - tylko utrzymywać narrację popularną wśród odbiorców X”.

Na koniec dnia na największego dumnia w tej historii wyszedł Krzysztof Bosak z Konfederacji (wice-marszałek Sejmu!), pełniąc wpis witający Groka „w ekipie, która się nie szczypie tylko walczy z poprawnością polityczną”.

Szybko mu wklejono co ciekawsze popisy Groka, w których Konfederatów uznał za bandę użytecznych debili, a samemu Bosakowi wyciągnął wpadkę z wyszukiwaniem grupowego porno.

Gdzieś po drugiej stronie tęczy pojawiły się głosy ostrzegające, że wpadka Groka to dowód, że „nieograniczona władza Big Tech-ów to już dziś olbrzymie ryzyko dla demokracji. A władza podpiekana AI jest jeszcze groźniejsza” (Paweł Nowacki).

Bo będziemy wkrótce myśleć tylko tak, jak chce Big Tech.

A Grok - to moja opinia - nie zwariował, tylko został celowo przesterowany, by zrobić się o nim głośno przed premierami kolejnych produktów Muska. Po prostu na chwilę pozwolono mu mówić głośno to, co od dawna po cichu miał robić...

Po co wam to opowiadać? Że Grok zwariował i lubi tylko Konfederację. Że Musk jest już tak nagrzany, że mu się wydaje, że to Mars leci do niego. A Trumpowi rzednie grzywka, więc chce bombardować Moskwę.

A co Wam szkodzi wiedzieć? Tylko - proszę - nie piszcie w komentarzach nic o mojej matce. Mam tego na TT dość na co dzień.

Marszałek Sejmu ma wręcz obowiązek spotykać się z opozycją, a już szczególnie z liderem opozycji (...). Natomiast przyznając, miejsce spotkania trzeba wybierać dużo bardziej fortunnie. Jak dzisiaj sobie o tym myślę, to powinniśmy dokończyć to niedokończone spotkanie wcześniejsze z Jarosławem Kaczyńskim po wyborach u mnie w gabinecie

RELIGIA/TEOLOGIA

„Mateczka, Święta Parakletka, Wcielony Duch Święty”

„Mateczka” Tomasza P. Terlikowskiego to przyczynek do studiów nad dziejami mariawityzmu, czyli wyznania, które pojawiło się w Polsce na przełomie XIX i XX w. Tytułowa „Mateczka” to Feliksa Magdalena Maria Franciszka Kozłowska (1862-1921), założycielka i duchowa opiekunka mariawitów, ta, która przekazała Kościołowi objawienie zawarte w Dziele Wielkiego Miłosierdzia i ta sama, którą 5 grudnia 1906 r. imiennie ekskomunikował Pius X.

Wielkie Miłosierdzie

„Jak s. Feliksa - pyta Terlikowski - której objawienia porównywanego do objawień s. Faustyny, została pierwszą w historii kobietą heretyczką?”. By zrozumieć ten fenomen, patrzy na jej życie, studiuje setki tekstów, świadectw bliskich, a także tych, którzy odrzucili jej nauki. Zabiera czytelnika do świata ludowych praktyk religijnych, seksualnych obsesji i lęku przed cielesnością.

Datą przełomową w duchowym CV s. Feliksi był 2 sierpnia 1893 r., kiedy to doświadczyła przeżycia mistycznego, znanego jako „Objawienie Dzieła Wielkiego Miłosierdzia”. Miało ono miejsce w plockim kościele seminarijnym św. Jana Chrzciciela, dotyczyło zaś stanu świata, pogrążonego w upadku. Objawienie wskazywało jednak na możliwość ratunku, który Bóg daje w „Miłosierdziu we czci Przenajświętszej Eucharystii i Pomocy Maryi”.

Głoszeniem związanego z nimi orędzia miało zająć się Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów, opartych na regule św. Franciszka.

Ekskomunikowana

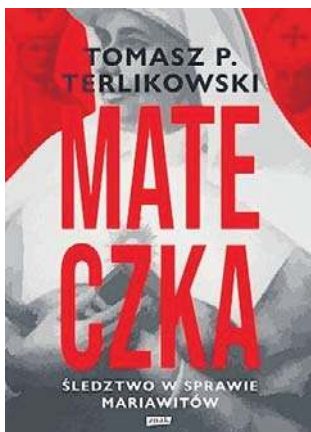
Starania o legalizację w strukturach Kościoła katolickiego nie przyniosło skutku. 31 sierpnia 1904 r. Kongregacja Inkwizycji podjęła uchwałę, nakazującą zerwanie wszelkich kontaktów kapłanów i siostr z Marią Franciszką. Niespełna dwa lata później, 12 kwietnia 1906 r., w katedrach polskich odczytano encyklikę Piusa X potępiającą mariawitów.

Założycielka mariawityzmu została obłożona ekskomuniką większą. Pół roku później, 31 grudnia 1906 r. ogłoszono imienną klątwę na Marię Franciszkę, a także na przełożonego Zgromadzenia o. Marię Michała Kowalskiego, późniejszego zwierzchnika Mariawitów tzw. denominacji felicianowskiej, teologa, mistyka, zamordowanego przez Niemców w 1942 r.

Małżonka Chrystusowa

Po śmierci Mateczki, 23 sierpnia 1921 r. została uznana przez mariawitów za świętą, a abp Kowalski rozwinął kult założycielki mariawityzmu. Wprowadzono wiele modlitw do Mateczki, wzorując się m.in. „Pod Twoją Obronę”. Głoszono, że miała być wybrana jako „kolejna po Chrystusie do zbawienia świata.

Kult Mateczki wciąż trwa. W liście pasterskim abpa Marii Rafała Wojciechowskiego na Zmartwychwstanie Pańskie 1991 r., czytamy: „Spełniło się. Przyszła na ziemię Mateczka, Święta Parakletka, Wcielony Duch Święty (...) Zrodziła nowy Kościół, nowy bo Eucharystyczny - Chrystusa i Jej: Małżonki Chrystusowej, Wcielonej Pocieszycielki”. *margra*



Tomasz Terlikowski,
„Mateczka. Śledztwo w sprawie mariawitów”,
wyd. Znak, Kraków 2025,
cena 54,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

MAŁGORZATA KOZUCHOWSKA

Wydziela czas

Podczas niedawnego wywiadu z Bogdanem Rymanowskim, aktorka przyznała, że jej dziecięciem syn nie ma smartfona. - Oczywiście ma iPada i wydzielany ten czas, kiedy może grać. Nie dało się go od tego uchronić. Ale telefonu na razie się wystrzegamy. Po prostu uważam, że to robi sieć z mózgu, wpływa na emocje dzieci, to jest przebodźcowanie - powiedziała. Przyznała jednak, że chłopak nie daje za wygraną: - On mówi: „Mamo, ty nie wiesz, ile ja się nauczyłem angielskiego przez to, że ja, jak gram, to się porozumiewam po angielsku?”. Ja mówię, że jest dużo sposobów nauczania się angielskiego, niekoniecznie ten. To jest taka nieustająca walka - podsumowała.

PAWEŁ ORLEAŃSKI

Został przyłapany

Aktor tworzy od 25 lat udane małżeństwo z koleżanką po fachu - Joanną Orleańską. Para do niedawna żyła sobie spokojnie z dala od zgiełku show-biznesu, aż tu nagle paparazzi „Super Expressu” sfotografowali Orleańskiego w towarzystwie tajemniczej blondynki w czasie, kiedy jego żona przebywała za granicą. „Po zjedzonym wspólnie obiedzie ruszyli w stronę auta gwiazdora. Uśmiechy nie zniknęły z ich ust, a na więcej pozwolili sobie w aucie, gdzie doszło do pocałunków. W samochodzie spędzili jeszcze 40 minut” - napisał tabloid. „Na zdjęciach widać mnie z serdeczną koleżanką, z którą spotkałem się w celach czysto biznesowych, w miejscu publicznym i przy pełnej świadomości mojej żony” - wytłumaczył się Orleański w rozmowie z gazetą.

MAJA RUTKOWSKA

Kocha siebie

Żona słynnego detektywa ma za sobą zorganizowanie pierwszej komunii dla ich syna, z której to okazji wydała przyjęcie o większym rozmachu niż niejedno wesele. Dlatego teraz postanowiła odpocząć z koleżankami w Tajlandii. W efekcie jej media społecznościowe zalała fala zdjęć z rajskich plaż. Widać na nich wyraźnie odchudzoną celebrytkę, przeżącą się



Agnieszka Kaczorowska po rozstaniu z Maciejem Pelą rozpoczęła budowę nowego domu w Warszawie

przed obiektywem w bikini w cętki. „Jednego dnia świeci słońce, innego pada deszcz, jak w życiu. Jeszcze 10 kg i będę dla ciebie idealna. Najważniejsze, że czuję się o niebo lepiej i kocham siebie” - głosi podpis pod fotografiami. Przy okazji jedna z internatek spytała Rutkowską, jaki nosi rozmiar. „Mam 180 cm wzrostu, rozmiar ubrań lubię duże, ob-szerne, ale teraz 38” - odpisała żona detektywa.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Patrzy w przód

Po rozstaniu z Maciejem Pelą tancerka rozpoczęła budowę nowego domu w Warszawie. Na Instagramie pojawiły się właśnie pierwsze zdjęcia z miejsca, gdzie powstaje przyszłe gniazdko Kaczorowskiej i jej córki. Widać na nich celebrytkę w ogrodzie, odpoczywającą w hamaku. „Prace postępują. Lubie tu przyjeżdżać, bo to takie spojrzenie w kierunku nowego. Zdecydowanie lepiej patrzeć w przód niż w przeszłość. Dobrze mi tu. I zielono tu” - napisała tancerka. Na razie nie wiadomo czy w domu zamieszka z nią jej obecny partner - Marcin Rogacewicz.

KRZYSZTOF IBISZ

Mocno kibicuje

Kilka dni temu Pudelek zauważył, że żona prezentera prześlada go obserwować na Instagramie i wróciła do swego pannieńskiego nazwiska. Serwis zaniepokoił się, iż oznacza to

kryzys trwającego cztery lata małżeństwa. Poproszony o komentarz gwiazdor Polsatu, odpisał: „Asia ostatnie lata poświęciła przede wszystkim na realizowanie się jako mama. Ten piękny czas i opieka nad naszymi dziećmi nie wyczerpują jednak jej ambicji. Już wkrótce chce wrócić do pracy na większych obrotach, czemu mocno kibicuję i trzymam za to kciuki. Asia chce budować swoją zawodową markę na własnych zasadach i pod własnym nazwiskiem, by uniknąć niesprawiedliwych ocen czy komentarzy. Stąd te zmiany na Instagramie” - podkreślił.

TOMASZ KAROLAK

Liczy na rozgłos

Właśnie ogłoszono, że popularny aktor wystąpi w jesiennej edycji „Tańca z gwiazdami”. Podobno kuszono go zaproszeniem do show jeszcze wtedy, kiedy było ono realizowane przez TVN. Wtedy odrzucił jednak te propozycje i zgodził się dopiero tym razem. - Tomek przeżywa teraz dobry, energetyczny i progresywny okres, dlatego zdecydował się przyjąć propozycję udziału w show. Dodatkowo, jedna z produkcji, w której miał wziąć udział, została przeniesiona na przyszły rok, co stworzyło przestrzeń na ten format. Warto jednak podkreślić, że swój udział w „Tańcu z gwiazdami” traktuje bardzo poważnie i solidnie się do niego przygotowuje. Nie chce się wygłupiać - powiedział Pudelkowi znajomy Karolaka.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Odwaga przyniesie sukces. Nie bój się wyzwania, bo horoskop dzienny wróży, że to one prowadzą Cię na szczyt.

Ryby (19.02 - 20.03)

Czas na odpoczynek. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by zadbać o swoje ciało i umysł.

Baran (21.03 - 19.04)

Dobra komunikacja to Twój klucz do sukcesu. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać innych, ale też artykułować swoje potrzeby.

Byk (20.04 - 20.05)

Dom i bliscy są dziś najważniejsi. Znajdź czas na rozmowy i wspólne chwile. Horoskop dzienny radzi dbać o wewnętrzny spokój i harmonię.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja energia przyciąga ludzi. Wykorzystaj to. Horoskop na dziś radzi jednak uważać, by nie przesadzić z dominacją w relacjach.

Rak (22.06 - 22.07)

Drobne szczegóły mogą dziś zaważyć na wyniku. Horoskop dzienny na piątek radzi zachowywać precyzję.

Lew (23.07 - 22.08)

Szukaj równowagi w relacjach z innymi osobami. Horoskop dzienny zapowiada, że kompromisy okażą się kluczem do zgody.

Panna (23.08 - 22.09)

Tajemnice i intuicja zdominują dzień. Horoskop na dziś radzi ufać swoim przeczućiom, ale nie dawać się zbyt łatwo ponieść fantazji.

Waga (23.09 - 22.10)

Czas na nowe przygody! Podróże dadzą Ci radość. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by otworzyć się na nowe znajomości.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Praca pochłonie Cię całkowicie. Horoskop dzienny podpowiada, by jednak znaleźć też chwilę na odpoczynek.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoje pomysły zainspirują innych. Działaj nieszablono-wo, a odniesiesz sukces. Horoskop na dziś radzi zadbać o relacje z przyjaciółmi.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Emocje zagrają pierwsze skrzypce. Horoskop dzienny na piątek mówi, że powolisz sobie na marzenia. Niektóre szybko zrealizujesz...

KOBIECA TWARZ ROKU POLSKI

KATEGORIA POKOLENIOWA: CÓRKI



● **ANTOSIA BADURA**
● Katowice

- Jestem bardzo wrażliwa emocjonalnie. Jestem wielozadaniowa, inteligentna i jako kobieta potrafię robić wiele rzeczy na raz. To moja ogromna zaleta. To z pewnością mi pomaga. Cechy, które mnie opisują, to także wysoka wrażliwość, wewnętrzna siła, odwaga, szacunek dla drugiej osoby oraz przede wszystkim wsparcie dla innych, którzy mogą na mnie liczyć zawsze - mówi sama o sobie. Jest osobą, która zawsze wysłuchuje, wspiera radą, dobrym słowem oraz pomaga w miarę swoich możliwości. Bliscy mogą na nią liczyć w każdej sytuacji: zarówno przyjaciele, jak i rodzina. Aktualnie opiekuje się babcią, która nieśwety choruje.

Jest optymistką. - Wiadomo, że czasem pojawiają się trudniejsze chwile i momenty zwątpienia. Wtedy zawsze staram się pobyć sama ze sobą, poukładać sobie wszystko w głowie i staram się patrzeć w przyszłość optymistycznie. Nie zawsze tak było, takie podejście kształtowało się u mnie z wiekiem. Można powiedzieć, że nauczyło mnie tego życie, ja zresztą zawsze powtarzam, że uczymy się całe życie - wyjaśnia, dodając, że zawsze była nieco dojrzałsza od rówieśników. - Przyznam, że ja zawsze miałam więcej nieco starszych znajomych. Po prostu w ich towarzystwie czuję się lepiej - bardziej zrozumiana oraz wy-

sluchana i po prostu nadajemy na podobnych falach - tłumaczy. Siłę czerpie z tego, że zawsze stara się słuchać siebie, swojego wnętrza. W każdej sytuacji próbuje iść do przodu, nie poddawać się. W trudnych chwilach obok Niej są bliscie osoby, przyjaciele. - Raczej twardo stąpać po ziemi, ale zdarza mi się także marzyć, a później zamieniać to w plany i cele do osiągnięcia. Bardzo dużo nauczył mnie również sport. Trenowałam akrobatykę przez pięć lat, łyżwiarstwo figurowe przez cztery lata - i właśnie te dyscypliny wykształciły we mnie siłę, nauczyły mnie konsekwencji w dążeniu do celu i w pogoni za swoimi marzeniami - wyjaśnia. Kiedy miała dziewięć lat, zaczęła przygodę ze śpiewem, później pokochała właśnie sport, jednak z czasem miłość do muzyki powróciła i od dwóch lat znów śpiewa. Nagrała dwie autorskie piosenki. Trafiły na listy przebojów!

Antosia Badura obecnie uczęszcza do liceum, potem chciałaby rozwijać się w kierunku psychologii lub pedagogiki. Chciałaby połączyć to z muzyką. Myśli o wydawaniu swoich piosenek, koncertowaniu. Muzyka to Jej ogromna pasja, ale jednak największy nacisk kładzie głównie na rozwój kariery psychologicznej.

Mówi, że tytuł Kobiety Twarzy Roku Polski jest dla Niej ogromnym wyróżnieniem, które było... całkowitym zaskoczeniem.

KATEGORIA POKOLENIOWA: MATKI



● **AGNIESZKA ZAWADZKA**
● Pomyków

Kiedy dowiedziała się o zwycięstwie w akcji Kobieta Twarzy Roku Polski, poczuła ogromną dumę i wdzięczność. Jej codzienność nie jest łatwa. Pracuje w hucie szkła, na produkcji. Trzy zmiany, tylko dwa dni wolnego. Samotnie wychowuje 3,5-letniego synka, bo Jej partner zmarł rok temu. Starszy syn ma już 20 lat, skończył szkołę zawodową na kierunku fryzjer i chce nadal iść w tym kierunku. - Mieszkamy u mojej teściowej. To dzięki niej i rodzinie w ogóle daję radę. Ale czasem, kiedy nie mam z kim zostawić dziecka, idę do pracy prosto po nieprzespanej nocy. I powiem jedno, człowiek nie wie, ile ma w sobie siły, dopóki życie nie zmusi go, by ją z siebie wyrzesał. I choć nie jest łatwo, bo czasu dla siebie praktycznie nie mam, to właśnie ten plebiscyt był dla mnie momentem, kiedy mogłam złapać oddech i uwierzyć, że nadal jestem kimś więcej niż tylko zmęczoną mamą na nocnej zmianie - wspomina. Nasza akcja otworzyła ją na nowe rzeczy. Dodała odwagi i wiary w siebie. - Przez ostatni rok było mi bardzo ciężko. Ale udział w plebiscycie był takim jasnym punktem. Poczułam, że może jeszcze coś dobrego mnie spotka. Może to dopiero początek zmian - zastanawia się.

Radość w codzienności dają Jej dzieci. Ich obecność,

uśmiech, każde „mamo, patrz!” - Mój młodszy synek, choć jeszcze mały, zaskakuje mnie codziennie. Potrafi już alfabet, rysuje, maluje. Laurki to u nas norma. A starszy, choć dorosły, nie zapomina o mnie. Dzwoni, opowiada o swoich planach. Dla matki nie ma większej nagrody niż świadomość, że dzieci są szczęśliwe i radzą sobie w życiu - wyjaśnia.

Zawsze wiedziała, że chce zostać mamą. Zawsze o tym marzyła! - Chciałam mieć dzieci, dać im dom, miłość. Patrzeć, jak rosną, uczą się świata. Bycie mamą to nie tylko obowiązki. To największy zaszczyt, jaki mnie w życiu spotkał. Dzieci były i są moim sensem życia. Oczywiście, nie zawsze jest łatwo. Bywają choroby, zmęczenie, nieprzespane noce. Ale nie zamieniłabym tego na nic innego - wyjawia.

Co ją najbardziej zaskoczyło w macierzyństwie? - Najbardziej chyba to, ile można znieść. Że człowiek jest w stanie działać bez odpoczynku, bez wsparcia - tylko dlatego, że ma dla kogo. Bywa, że nie mam z kim zostawić dziecka, więc idę do pracy bez snu. Funkcjonuję, choć wydaje się to niemożliwe. Człowiek poznaje siebie na nowo, uczy się cierpliwości, organizacji, ale przede wszystkim wytrwałości. Oczywiście są też te mniej miłe momenty. Dzieci chorują, kapryszą, czasem brakuje cierpliwości. Ale każdy uśmiech wynagradza wszystko - opowiada pani Agnieszka.

KATEGORIA POKOLENIOWA: KOBIETY DOJRZAŁE



● **CZESŁAWA POWICHROWSKA**
● Chełm Śląski

Do miłości i akceptacji samej siebie 61-letnia pani Czesława doszła dosyć późno, bo w wieku 50 lat. Jak mówi, to właśnie wtedy czuła się najbardziej „skopana” przez życie i byłego męża. Zebrała się na odwagę i odeszła, biorąc życie we własne ręce. - Byłam tak zdołowana w trakcie rozwodu. Nie miałam chęci do życia, czułam się słaba i niepotrzebna. Jak patrzyłam w lustro, nie widziałam siebie, a... coś strasznie. Samo mi przyszło do głowy, by wziąć się za siebie - wspomina. W tamtym okresie zrozumiała także, że jeśli głęboko wierzymy w pozytywne zakończenie spraw, tak rzeczywiście się zakończą. - Nie od razu. Może za rok, dwa, trzy, ale tak się stanie - dodaje z mocą.

Marzyła o tym, że będzie w końcu miała wspaniałe życie i mężczyznę, który będzie dla niej dobry. I tak właśnie się stało! Była po 50., gdy przez internet poznała swojego obecnego męża, z którym jest bardzo szczęśliwa. On szanuje Jej niezależność, wspiera ją i prawdziwie kocha. Marzyła także o tym, by zwiedzić świat, tak również się stało, a dzięki wygranej w Kobiety Twarzy Roku, zamierza zwiedzić Afrykę!

Z czasem odkryła na nowo swoje pasje. Na co dzień zajmuje się florystyką, własnym

ogrodem, a nawet tujami, w czym pomaga Jej... fryzjerskie wykształcenie i wieloletnie doświadczenie w tej branży. Jak mówi, nigdy nie jest za późno. Teraz jest już starsza, a ma jeszcze większą siłę - by zdążyć. - Chodzi tu też o zdrowie. Życie można naprawdę długo, ale pozytywne myślenie jest najważniejsze. Jeśli żyje się w stresie, ma się depresję, a choruje teraz dużo ludzi, to trzeba nauczyć się żyć. Tego wymagają czasy, które są bardzo trudne. Jak się myśli pozytywnie, to choroba się nie rozwija w człowieku. Przy depresji, ciało reaguje i powstają inne choroby. Wiem, że nie każdy tak potrafi, ale przekazuję to wszystkim ludziom, z którymi rozmawiam - zaznacza.

Najważniejsze w życiu kobiety, Jej zdaniem, to przestać się i nie myśleć do tyłu. Będąc w największym dołku, zaczęła czytać książki psychologiczne i podkreśla, że są bardzo pomocne. Ponadto zwraca uwagę, że nie można się bać przyznać, że potrzebuje się pomocy i iść do psychologa czy psychiatry. - To już nie są te czasy, gdzie jest wstyd - tłumaczy, mówiąc, że gruntem poprawy jakości życia jest pokochanie samej siebie. - Trzeba patrzeć na siebie pozytywnie i być z siebie zadowolonym. Ja jestem dumna z siebie i może to brzydko zabrzmieć, ale człowiek staje się trochę bardziej egoistyczny. Ale to nie jest ten zły egoizm, tak samo, jak jest dobry i zły cholesterol - zauważa.

komplet książek i przyborów dla ucznia				wysuszona trawa		włoski port nad Adriatykiem		plasterki cytryny		mazak ufa doświadczeniu		wakacyjna pora		działkowy szkodnik		polska kawa zbożowa		plynie przez Goleniów urok, który czasem pryska		góry z Aconagagą		mgła nad trzęsawiskiem		epizodyczne role filmowe		odmiana jabłoni		burda Pietro, włoski poeta	
cienka gałązka																													
znana z posągów Moai																													
wzburzona toń wytyczona droga																													
pokarm dla papużek																													
mały kurek część dachu																													
bohaterka „Zemsty”																													
plaż bezogonowy																													
wafel do lodów																													
roślina do majenia																													
rzeczny prąd																													
plynie przez Podole																													
muzyczny hit sezonu																													
imię Arciuch, aktorki																													
belka na maszcie																													
styl w sztuce																													
owca o cennym runie																													
ozdoba choinkowa																													
kompani oprędy jedwabnika																													
ciało niebieskie wypiera skalpel																													
													</																

ROZWIĄZANIE: ODRZUCANIE ZASAD TO TAKŻE ZASADA.

Larkas zastąpił Tabaka w Treflu

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Trefl Sopot znalazł następcę Żana Tabaka. Nowym trenerem brązowych medalistów ostatniego sezonu został Fin Mikko Larkas.

Nowy szkoleniowiec przed przyjazdem do Sopotu poprowadzi najpierw reprezentację Finlandii U-18 na mistrzostwach Europy dywizji B. Ten turniej rozegrany zostanie od 25 lipca do 3 sierpnia w Rumunii.

44-letni szkoleniowiec z Finlandii ostatnio prowadził francuski zespół Limoges CSP. Mikko Larkas przejął ten zespół w styczniu tego roku i zrealizował cel, którym było utrzymanie we francuskiej ekstraklasie. Wcześniej był asystentem trenera w SIG Strasbourg, z którym dotarł do finału Pucharu Francji oraz TOP16 Basketball Champions League.

Larkas karierę trenerską zaczął w 2009 roku w kobiecym klubie Espoo. Sięgnął po mistrzostwo i puchar Finlandii. Pracował również w klubach Helsinki Seagulls czy we francuskim IG Strasbourg. Był dyrektorem sportowym w klubie Vantaan Pussihukat Juniorit, akademii pracującej z młodymi talentami.

Mikko Larkas podjął się także obowiązków w fińskiej federacji rozwijając poziom drużyny narodowej. Pracował z kadrą uniwersytecką Finlandii oraz trenera asystenta w pierwszej reprezentacji. Był z repre-



Mikko Larkas chce zbudować w Sopocie drużynę, która będzie grać ofensywnie

zentacją m.in. na EuroBasketcie w 2017 i 2022 roku oraz na mistrzostwach świata w 2023 roku.

W Treflu Sopot, po odejściu Żana Tabaka, trwały poszukiwania nowego szkoleniowca, który z zespołem będzie walczył o sukcesy. Postawiono właśnie na 44-letniego Larkasa.

- Po zakończeniu współpracy z Żanem Tabakiem rozpoczęliśmy poszukiwania nowego trenera. Przyznaję, że to był wymagający proces. Za nami świetne sezony i chcielibyśmy

utrzymać ten poziom. Planujemy jednak trochę zmienić podejście do budowy zespołu. Chcemy koncentrować się nie tylko na wynikach, ale także pracować w dłuższej perspektywie, patrząc na rozwój zawodników, dlatego nasza selekcja musiała być jeszcze bardziej szczegółowa. Zgłosiło się do nas wielu trenerów. Sprawdziliśmy około 40 nazwisk, a z wybranymi szkoleniowcami przeprowadziliśmy kilkanaście rozmów. O każdym z nich w międzyczasie pozyskiwaliśmy też

informacje z innych źródeł. Zwracaliśmy uwagę na wiele aspektów, nie tylko stricte sportowych, ale też na charakter, wymagania, umiejętności budowania relacji czy sytuację rodzinną. Dlatego właśnie wybór i podpisanie umowy z nowym trenerem zajęło nam tyle czasu. Na końcu zdecydowaliśmy pomiędzy pięcioma kandydatami i ostatecznie postawiliśmy na Mikko Larkasa. 44-letni Fin jest przedstawicielem cenionej ostatnio i idącej w górę szkoły koszykówki, a my zebraliśmy

o nim bardzo dobre opinie. Nasz nowy trener ma za sobą dwa sezony spędzone we francuskiej ekstraklasie. Wcześniej przez wiele lat podnosił kwalifikacje i zbierał doświadczenie u boku znakomitych szkoleniowców w reprezentacji Finlandii. W rozmowach z nami był zdecydowany i konkretny. Widać było, że wie, jak chce pracować i co jest dla niego ważne. Zależy mu na tym, aby razem z nami rozwijać się i walczyć o jak najwyższe cele. Dzięki swojemu doświadczeniu wprowadzi

do naszej organizacji dodatkowe elementy, na których nam zależało. Mamy świadomość, że po ostatnich sezonach poprzeczka postawiona jest bardzo wysoko, ale wierzymy, że nowy trener sobie poradzi - powiedział Marek Wierzbicki, prezes Trefla Sopot, dla oficjalnego serwisu klubowego.

Pierwszej wypowiedzi udzielił także nowy szkoleniowiec Trefla.

- Rozmawiałem z kilkoma klubami, ale Trefl Sopot wydają mi się najlepszą opcją. Od pierwszej naszej rozmowy miałem wrażenie, że jest zarządzany bardzo profesjonalnie. Wiem, że polska liga jest naprawdę wymagająca, a Trefl jest klubem z dużymi tradycjami. Chcę odnieść sukces w ORLEN Basket Lidze i z dobrej strony pokazać się w rozgrywkach międzynarodowych. Czego się spodziewam? Mam nadzieję, że w Sopocie spotkam osoby, które każdego dnia chcą się rozwijać. Najważniejsze jest dla mnie zaangażowanie, ciężka praca i koncentracja na danej chwili. Naszym celem będzie każdy kolejny mecz. Spróbuję zbudować zespół, który będzie grał ofensywnie. Uważam, że najlepsze drużyny to te, które potrafią szybko przestawić się z defensywy na atak i odwrotnie. Do tego potrzebna jest fizyczność, ale także zrozumienie ról i odpowiednie ustawianie się w obronie. Szybkość i zaangażowanie - to mój pomysł na koszykówkę - powiedział Larkas po podpisaniu kontraktu.

©P

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęża 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76** www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31** tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni** ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęża 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

ODKUPIĘ współwłasność w mieszkaniach, cała Polska, 518503404

GARAŻE

KUPIĘ garaż w Trójmieście za gotówkę. Tel: 535-340-504.

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

AUTO kupię 2005-2020; 609-16-22-66

Praca

ZATRUDNIĘ

W gospodarstwie mlecznym, z doświad.- zamieszkanie, 517-433-784

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy turnusy 60+ lipiec od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

MORZA

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁĘBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

USTRONIE MORSKIE - pokoje z łazienkami, VII- VIII PROMOCJA. Blisko morza. Tel.: 503-936-581.

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA pobyt z wyżywieniem od 140zł doba, 601-585-510 www.danaustronie.pl

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlery) odchowane, 10- 20 tyg, kaczki i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram zapisy. Tel. 728-104-188.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.050 zł/ tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Wielki finał. Londyńska Chelsea sprawdzi paryską maszynę

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Chelsea kontra PSG - oto finał piłkarskich klubowych mistrzostw świata 2025. Spotkanie odbędzie się w najbliższą niedzielę, o godz. 21.00, na „MetLife Stadium” w East Rutherford.

W hitowym półfinale klubowych mistrzostw świata piłkarskiego Paris Saint-Germain - niedawni triumfatorzy Ligi Mistrzów, pokonali Real Madryt aż 4:0. Nad przebiegiem gry czuwał niezawodny i najbardziej ceniony nasz sędzia - Szymon Marciniak.

Polak nie miał co prawda zbyt wiele pracy, ale po zakończeniu spotkania i tak zebrał pochwały, m.in. od byłego arbitra Rafała Rostkowskiego.

Postawa podrechnikowa

W artykule dla TVP Sport znany ekspert podkreślił, że Marciniak od początku meczu na „MetLife Stadium” w East Rutherford był maksymalnie skoncentrowany. Szczególnie wyróżnił sytuację z 6. minuty - tuż przed pierwszym golem, gdy bramkarz Thibaut Courtois sfaułował rywala.

- Decyzje Szymona Marciniaka na początku meczu PSG - Real Madryt były fenomenalne, jak z filmu szkoleniowego - zachwycał się Rafał Rostkowski. - Dwie ręce, jak na obrazkach w „Przepisach gry”, skierował w kierunku, w którym prowadzona była akcja, a następnie odwrócił się w stronę środka boiska z tymi dwiema rękami wciąż wyprostowanymi przed sobą, żeby pokazać, że w tym przypadku zastosowanie korzyści doprowadziło do bramki.

W dalszej części spotkania Marciniak nie przeszkadzał pił-



Szymon Marciniak w krótkiej wymianie zdań z włoskim bramkarzem PSG - Gianluigi Donnarumma

karzom, wraz ze swoim zespołem sędziowskim - Tomaszem Listkiewiczem i Adamem Kupsiem - trzymał się w cieniu wydarzeń na boisku; a to podobno jeden z większych komplementów dla arbitra.

Gra na konsoli

Inna sprawa, że mecz PSG - Real był wyjątkowo jednostronny, a na pierwszy plan wyszły błędy indywidualne w defensywie zespołu prowadzonego przez Xabię Alonsa. Gdy na stadionowej tablicy wybiła 24. minuta, było już 3:0 dla francuskiego triumfatora Ligi Mistrzów. Wielu kibiców mogło sobie przypomnieć w tym momencie słynny półfinał MŚ 2014,

w którym Niemcy rozbiły Brazylię aż 7:1...

Po zmianie stron tempo nieco opadło. W końcówce meczu wynik ustalił wprowadzony Gonçalo Ramos. Portugalczyk po zdobyciu swojej pierwszej bramki na turnieju oddał hołd tragicznie zmarłemu rodakowi. Wykonał słynną cieszynkę „gry na konsoli”, by upamiętnić Diogo Jotę, którego pogrzeb odbył się w minioną sobotę. Podobnym gestem w ćwierćfinale popisał się Francuz Ousmane Dembele, który pogroził Bayern Monachium, trafiając na 2:0 w doliczonym czasie...

Zachwyty po meczu z Realem spłynęły jednak nie na pił-

karzy, a na... trenera Luisa Enrique, który uczynił z paryżan prawdziwą maszynę do gromienia rywali. Przypomnijmy - w finale Ligi Mistrzów PSG rozbiło Inter Mediolan aż 5:0. - Prawdziwą Złotą Piłką w tym sezonie jest Luis Enrique. Nie Lamine Yamal, Dembele ani Vitorinha - napisała hiszpańska „Marca”.

I trudno się dziwić, patrząc na drogę PSG do finału KMS: triumf z Interem Miami (4:0) w 1/8 finału, następnie pewna wygrana z Bayernem (2:0) i efektowne zwycięstwo z Realem Madryt (4:0).

The Blues mieli łatwiej?

Na papierze łatwiejszą drogę do finału miała Chelsea. Podopieczni trenera Enzo Mareski musieli co prawda pokonać dwóch brazylijskich gigantów, ale zespoły z Ameryki Południowej są obecnie nieco niżej notowane od europejskich potentatów.

Najtrudniejszą przeprawę londyńczycy mieli w 1/8 finału, w którym dopiero po dogrywce (4:1) uporali się z Benficą Lizbona. Wygrana z Palmeiras (2:1) w ćwierćfinale przysłała łatwiej, zaś półfinał z Fluminense (2:0) z 40-letnim kapitanem Thiago Silvą - byłym piłkarzem The Blues oraz Paris Saint-Germain - nie miał wielkiej historii. W tym ostatnim spotkaniu na „MetLife Stadium” widzów dwoma pięknymi trafieniami uraczył Joao Pedro, przesądając o awansie do finału.

Finał klubowych mistrzostw świata także rozegrany zostanie na „MetLife Stadium” mogącym pomieścić 82 556 widzów. W Polsce będzie dostępny za darmo na platformie streamingowej DAZN. Transmisja w niedzielę, od godz. 21.00 czasu polskiego. Wystarczy zalogować się w aplikacji. ©©

Teatrzyk wokół wyboru selekcjonera. Brzęczek znów faworytem Kuleszy?

Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

Jerzy Brzęczek i Jacek Magiera wpadli na siebie przy wejściu do PZPN i udali się razem na spotkanie do prezesa związku Cezarego Kuleszy. Jaki był cel tej niespodziewanej wizyty?

Kulesza jeszcze we wtorek oglądał na stadionie w Lucernie mecz Polek ze Szwedkami (0:3) w mistrzostwach Europy 2025, a po powrocie do kraju wziął się mocno do pracy. „Super Express” poinformował w środę około godziny 19, że dwaj wspomniani kandydaci na objęcie posady selekcjonera spotkali się - nieoczekiwanie dla siebie - przy wejściu do siedziby PZPN w Warszawie.

Obaj trenerzy od początku byli wymieniani wśród potencjalnych następców Michała Probiezja, który podał się do dymisji 12 czerwca po przegranej w wyjazdowym meczu z Finlandią. Brzęczek był już selekcjonerem seniorskiej kadry

w latach 2018-2021, ale został zwolniony, mimo awansu na Euro 2020, przez poprzedniego prezesa związku Zbigniewa Bońka. Magiera także był selekcjonerem, tyle że reprezentacji U-20, prowadząc ją do awansu z grupy na mundialu U-20 w 2019 roku w Polsce.

Media spekulują, że na spotkaniu Magiera i Brzęczek z Kuleszą nie zapadły konkretne decyzje. Prezes PZPN wciąż nie wybrał zatem selekcjonera, jest na etapie sondowania kandydatów. Miał też przedstawić obu trenerom kilka wariantów współpracy - każdemu podobno zarówno w charakterze selekcjonera, jak i członka sztabu kadry.

Brzęczek był uznawany za faworyta do przejęcia szelki po Probiezju kilkanaście dni temu, ale wówczas w wariantach z Łukaszem Piszczkiem w roli asystenta i Jakubem Błaszczykowskim w roli dyrektora sportowego. W ostatnich dniach wyższe były notowania Jana Urbana i Adama Nawalki. Show prezesa Kuleszy trwa...



Jerzy Brzęczek był już selekcjonerem reprezentacji Polski w latach 2018-2021. I nawet wywalczył awans...

Polskie siatkarki zagrają dziś z Brazylijkami w Lidze Narodów

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Reprezentacja Polski siatkarek zagra dziś w Lidze Narodów. W japońskiej Chibie Białe-Czerwone zmierzają się z Brazylijkami.

Początek spotkania zaplanowano na godz. 12. 20 czasu polskiego. Białe-Czerwone bardzo dobrze spisują się w bieżącej edycji LN. W inauguracyjnym turnieju w Pekinie wygrały trzy spotkania: z Tajlan-

dią 3:0, Chinami 3:1 i Belgią 3:0 oraz uległy Turcji 2:3. W Belgradzie natomiast były niepokonane - wygrały 3:2 z Holandią, po 3:1 z USA oraz Serbią, a także 3:0 z Niemcami.

W pierwszym spotkaniu turnieju w Japonii Polki pokonały Koreę Południową 3:1 i z dorobkiem 24 punktów zajmują drugie miejsce w tabeli. Prowadzą Włoszki, które zgromadziły „oczeko” więcej.

- Jesteśmy bardzo zadowolone z tych wyników i mamy nadzieję, że będzie tylko lepiej. Fajnie weszliśmy w rozgrywki.

Na pewno chcemy powtórzyć minimum wynik z zeszłego sezonu, ale wiadomo, że każda z nas chciałaby czegoś więcej - stwierdziła środkowa Magdalena Jurczyk.

W piątek podopieczne włoskiego trenera Stefano Lavariniego czeka trudne zadanie. Po drugiej stronie siatki staną Brazyliżki, które równie dobrze spisują się w tym sezonie Ligi Narodów - aktualnie z dorobkiem 23 punktów zajmują trzecie miejsce w tabeli. W dotychczasowych dziewięciu spotkaniach przegrały tylko dwa razy

- z Włoszkami, a także z Japonią.

Do Chiby włoski selekcjoner reprezentacji Polski zdecydował się zabrać ten sam skład, który odniósł komplet zwycięstw dwa tygodnie wcześniej w Belgradzie. Od początku tegorocznej edycji rozgrywek Lavarini nie dokonuje zbyt wielu zmian, można się więc spodziewać, że jest to kadra, która później powalczy w fazie pucharowej oraz w docelowej imprezie sezonu, do której Liga Narodów jest etapem przygotowań - mistrzostw świata w Tajlandii.

Reprezentacja Polski została mocno odmieniona i obecnie nie występuje w niej kilka kluczowych wcześniej siatkarek. Po igryzyskach w Paryżu reprezentacyjną karierę zakończyła rozgrywająca Joanna Wołosz. Trener Lavarini - na prośbę samych zawodniczek - nie powołał do kadry Zuzanny Góreckiej, Moniki Fedusio, Natalii Mędrzyk, Klaudii Alagierskiej oraz Marii Stenzel.

W Chibie Polki zagrają jeszcze w sobotę z Japonkami (godz. 12.20) oraz w niedzielę z Bułgarkami (godz. 7.30) czasu

polskiego. W turnieju finałowym Ligi Narodów weźmie udział siedem najlepszych zespołów z fazy zasadniczej i Polska, która jest jego gospodarzem. Finał Eight rozegrany zostanie w Łodzi w dniach 23-27 lipca.

Ostatni zespół w tabeli zostanie zdegradowany, a jego miejsce zajmie reprezentacja klasyfikowana na najwyższym miejscu w rankingu, która nie uczestniczy w tegorocznej edycji rozgrywek. W dwóch poprzednich edycjach LN Białe-Czerwone zajęły 3. miejsce. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

Kho kho czyli jak grało się w berka

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl**KHO KHO. Pamiętacie berka? Ta dyscyplina sportowa przypomina dawną i znaną zabawę.**

Z jednej strony chodzi o to, żeby złapać zawodników z drużyny przeciwnej. Z drugiej strony właśnie o to, aby złapać się nie dać. Mowa o kho kho, czyli sporcie, który zafascynował studentów AWFIS w Gdańsku.

Skąd pochodzi kho kho i na czym polegają bardziej szczegółowe zasady gry? Wyjaśnią nam zawodniczka reprezentacji Polski, studentka AWFIS w Gdańsku oraz była siatkarka, Dagmara Skirzyńska.

- To jest starożytna dyscyplina sportowa, w Indiach znana od bardzo dawna - wyjaśnia Dagmara w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim”. - W skrócie gra polega na łapaniu osób, które biegają między nami. To jest gra zespołowa. Trzeba biegać w różnych kierunkach, szybko zmieniać strony. Goniący wypowiadając słowo kho przekazuje swoją kolej zawodnikowi z drużyny, który teraz zaczyna gonić. Trzeba złapać trzy osoby. Wtedy następuje 30 sekund przerwy i wchodzi następne osoby. Gra się siedem minut. Jak łapaliśmy, to potem uciekamy. Tak na zmianę - uciekamy, gonimy, uciekamy, gonimy. Za dotknięcie przeciwnika jest punkt.

Kho kho to gra, w której bardzo ważną są taktyka, szybkość, zwrotność.

- Uczyliśmy się w dziewięć osób na boisku, ale na mistrzostwach świata są zasady uproszczone na siedem osób. Drużyna uciekająca ma trzy i te osoby właśnie trzeba złapać, aby za każde dotknięcie dostać punkt. Zadaniem uciekających jest biegać taktycznie, poruszać się pomiędzy goniącymi tak długo, aby nie dać się złapać. Żeby złapać osoby uciekające jedna osoba biegnie w jedną stronę, a druga w drugą i zawsze poruszam się w tę stronę, w którą patrzę - tłumaczy Skirzyńska. - To pozornie skomplikowane zasady, które po zrozumieniu sprawiają, że gra jest szybka, dynamiczna i bardzo przyjemna. Można się zaciekać i zafascynować tym sportem, a ludzie zastanawiają się, jak to faktycznie wygląda i funkcjonuje. Gra jest podobna do naszego berka, ale trochę na innych zasadach.

Dla kho kho to są dopiero początki w naszym kraju. Dyscyplina potrzebuje czasu i większej popularności, aby się rozwijać.

- Kho kho w Polsce jest od trzech lat - mówi Dagmara. - Trenują nasi studenci, gdzie dla wszystkich jest blisko. Zaczęło się od tego, że studenci na kierunku międzynarodowym zaproponowali tę grę. Uczelnia daje nam salę, możliwość treningów, mamy wsparcie od pani prodziekan. Mamy promocję ze strony AWFIS, która o nas napisała. Uczelnia może się pochwalić nami, czyli byłymi lub obecnymi studentami.

Reprezentacja Polski pojawiła się na mistrzostwach świata w Indiach - pierwszych w histo-

PIŁKA NOŻNA**Lechia Gdańsk finiszuje z przygotowaniem do nowego sezonu.**

Piłkarzom Lechii Gdańsk został do rozegrania ostatni sparing, a już za tydzień startuje nowy sezon w PKO Ekstraklasie. W sobotę o godz. 12, na stadionie przy ul. Traugutta, Le-

chia rozegra grę kontrolną z drugoligową Chojniczanką Chojnice. Mecz będzie zamknięty dla publiczności. Podopieczni trenera Kohna Carvera dotychczas zaliczyli cztery sprawdziany spar-

gowe. Trzy mecze wygrali, a przegrali tylko z Motorem Lublin. Dla Białozielonych to będzie już test generalny przed inauguracją w PKO Ekstraklasie. (stan)

PIŁKA NOŻNA**Ostatni test Arki Gdynia w Gniewinie.**

Drużyna Arki Gdynia zagra z Hapoel Jerozolima w Gniewinie w ostatnim sparingu. Mecz odbędzie się w sobotę o godz. 12. (stan)



FOT. ARCHIWUM D. SKIRZYŃSKIEJ

W kho kho ogromne znaczenie mają szybkość oraz zwrotność i zwrotność

rii tej dyscypliny - i nie była najsłabsza pomimo początków tej dyscypliny w naszym kraju.

- Kobiety zajęły 11 miejsce na 19 drużyn startujących na mistrzostwach świata, a chłopcy uplasowali się na 16 miejscu także na 19 zespołów uczestniczących. Wygrałyśmy jeden mecz z Indonezją, a to był nasz pierwszy występ na imprezie o skali światowej. Był stres przed debiutem, bo Indonezja jest od czterech lat na mistrzostwach azjatyckich. Po meczu była euforia - opowiada Dagmara. - Nie mogliśmy uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Skakałyśmy, cieszyłyśmy się w kręgu, śpiewałyśmy. To było coś pięknego. Połeciałyśmy szczęścia. To był wymarzony scenariusz i nie spodziewałyśmy się osiągnięcia

niczego więcej w rywalizacji z zespołami ze znacznie większym doświadczeniem. Większość z nas trenowała dopiero od trzech miesięcy, więc zwycięstwo na mistrzostwach świata w tak krótkim czasie, to duży wyczyn.

Jak wyglądało zorganizowanie startu na mistrzostwach świata w Indiach od strony finansowej?

- Wznieśliśmy w naszym zakresie. Zakwaterowanie, przeloty, koszulki, bluzy i torby finansowała światowa federacja. Oprócz organizatorów mogliśmy liczyć na wsparcie naszego sponsora, firmy Ryna - mówi reprezentantka Polski.

Dla Dagmary pójście w kierunku kho kho oznaczało kolejną szansę w sporcie.

- Przez 13 lat trenowałam, siatkówkę w klubie MKS Olimpijczyk Gdańsk. Mam 162 cm wzrostu, ale to nie był problem, a trener mi pomagał w kwestiach motorycznych. Będąc na pierwszym roku AWFIS pojechałam na Akademickie Mistrzostwa Polski w siatkówce, gdzie zajęłyśmy czwarte miejsce. W siatkówkę grałam jeszcze przez rok, a potem wykluczyła mnie kontuzja barku. Mimo prób i ćwiczeń u fizjoterapeuty organizm nie dawał rady. Miałam rok przestoju i dzieliłam się jako trener w klubie amatorskim Atomówki. I wtedy pojawiło się kho kho, które wciągnęło mnie tym, że warto wykorzystać koordynację ruchową, zwrotność, rzuty, szybkość, logiczne myślenie oraz przewidywanie ruchów przeciwnika. Cieszę się, że chętnych jest coraz więcej, a dyscyplina zyskuje popularność w Polsce. U nas trenuje łącznie około 30 osób - powiedziała Skirzyńska.

Skirzyńska sama bierze na siebie promowanie kho kho, aby zainteresować tym sportem jak najwięcej nowych osób, a może w ten sposób zachęcić także do podjęcia treningów.

- Promujemy dyscyplinę na różne sposoby. Jako nauczyciel wuefu staram się wprowadzać większe zainteresowanie wśród uczniów i tłumaczyć im czym jest ta gra i że można się naprawdę świetnie bawić. Staram się działać na skalę miastową i globalną - wyjaśnia.

Jakie są najbliższe plany? To mistrzostwa Polski oraz mistrzostwa świata w Birmingham w 2027 roku.

- Następne mistrzostwa świata w kho kho będą w 2027 roku w Birmingham. Mistrzostwa Europy mają się odbyć, ale nie wiemy jeszcze kiedy i do końca gdzie. Raczej w przyszłym roku, ale nie jesteśmy pewni - przyznała Dagmara.

Stworzenie drużyny wymagało zgrania grupy oraz synchronizacji, a to na pewno nie było proste.

- Było sześć treningów przez trzy miesiące. Wcześniej się nie znaliśmy. Rotacja na treningach była duża, bo trudno było zgrać terminy treningów, żeby wszystkim pasowało. Stąd raz treningi były z jedną osobą, a innym razem z inną. Nie udało nam się dobrze zapoznać. Była impreza integracyjna w restauracji, ale w jeden wieczór nie da się zacieśnić więzów. Bardziej poznaliśmy się dopiero na mistrzostwach świata w Indiach. Sytuacja jest taka, że każdy trenował coś innego, bo są koszykarze, kolarze, hokeiści, piłkarze czy gimnastycy. Do tego dochodzi bariera językowa, bo trenerzy Sombir i Satyam są Hindusami, więc na treningach funkcjonuje tłumacz Google - zdradza Skirzyńska.

Dagmara cieszy się, że dzięki kho kho mogła wrócić do uprawiania sportu.

- Mocno się utożsamiam ze sportem, to część mojego życia. Nie ma z tego pieniędzy, ale ja zawsze żyłam sportem i trenowałam. Rok przerwy to był dla mnie jak utrata własnej tożsamości - zakończyła Dagmara. ©

REKLAMA

0011366359

PARTNER PARTNER ORGANIZATOR

GDANSK amber expo 31 Bieg św. Dominika

2 sierpnia 2025 r. - Gdańsk, Długi Targ

ZAPISY -> www.biegdominika.com/rejestracja

OFICJALNY SPONSOR PARTNER OFICJALNY PARTNER SPONSOR PARTNER OFICJALNY PARTNER OFICJALNY

Energia GRUPA ORLEN Kuchnia i Słodziki 15.000.000 LOTTO ROCKFIN DOMESTIA Bieżący czas! Pomorskie Ministerstwo Sportu i Turystyki Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych

ZAPISY - REJESTRACJA

www.biegdominika.com



W akcji Dagmara Skirzyńska (z prawej)

FOT. ARCHIWUM DAGMARY SKIRZYŃSKIEJ